NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV; ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 25 lipca 1914.** **Nr. 30.**

Ostatnie dni króla albańskiego.

(Treść na str. 15).





Jubileusz ks. biskupa Pelczara: J. E. ks. biskup Pelczar przy pracy.

Jubileusz ks. biskupa Pelczara.

Dnia 17 lipca minęło 50 lat od chwili, gdy ksiądz biskup dr. Józef Sebastyan Pelczar z rąk ś. p. Antoniego Józefa Monastyrskiego, biskupa przemyskiego otrzymał święcenia kapłańskie.



Ćwierćwiecze działalności księdza-obywatela: Ks. dr. Józef Caputa.

Uroczystość złotych godów kapłańskich arcypasterza jest uroczystą chwilą, nie tylko dla Niego samego, ale dla wszystkich Polaków z całego kraju, bo w półwiekowej swej pracy pasterskiej łączył on zawsze gorliwość kapłana z sercem obywatelskiem.

Urodzony w r. 1842 w Korczynie, egzamin dojrzałości złożył w Rzeszowie, studya zaś teologiczne ukończył w Przemyślu, gdzie w dniu 17 lipca 1864 otrzymał święcenia kapłańskie. Praca jubilata a niestrudzonego pracownika na niwie Chrystusowej zaczyna się od czasu, gdy pełen ognia Bożego rzucał ziarna prawdy jako wikary w Samborze, jak potem w seminaryum duchownem w Przemyślu wpajał miłość, a z nią przywiązanie do Kościoła, a wreszcie zostawszy arcypasterzem dyecezyi przemyskiej budował kościoły i kaplice w licznych opuszczonych i zaniedbanych siołach.

Niezwykłe zdolności, wspaniały dar wymowy, w połączeniu z wielkiemi przymiotami umysłu i serca zwróciły uwagę przełożonych na młodego kapłana. Wysłano go na dalsze studya do Rzymu. Gdy w r. 1868 powrócił do ojczyzny ze stopniem doktora teologii, został prefektem seminaryum przemyskiego, a wkrótce potem tamże profesorem teologii.

Gdy w r. 1877 przyszło do reorganizacyi na Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie wydziału teologicznego, to pierwszym, na którego zwrócono uwagę był ks. dr. Pelczar. Zasługi jego musiały być wybitne, skoro już w r. 1880 udzielił mu Uniwersytet prezenty na kanonika gremialnego kapituły krakowskiej, a w dwa lata później wybrał go swoim rektorem.

Między pracami naukowemi ks. prof. Pelczara szczególnie dwie zyskały wielki rozgłos a mianowicie: „Życie duchowne, czyli doskonałość chrześcijańska“, które to dzieło w krótkim przeciągu czasu doczekało się kilku wydań i „Pius IX i jego wiek“, wielkie trzechtomowe dzieło, pełne głębokich i wzniosłych myśli.

Skoro w roku 1900 opróżniła się katedra biskupia w Przemyślu, oczy wszystkich zwróciły się na dawnego ucznia seminaryum przemyskiego i w roku 1901 zasiadł on na tej katedrze biskupiej. I sam swój dzień jubileuszowy postanowił ks. biskup Pelczar upamiętnić czynem, który przyniesie nieocenione korzyści tak pod względem religijnym jak i narodowym. Oto zorganizował składkę jubileuszową na budowę polskich kościołów i kaplic we wschodniej Galicyi, a najlepszym dowodem czci i miłości, jaką wierni w dyecezyi dlań żywią jest fakt, że dziś to



Jubileusz ks. biskupa Pelczara: Kościół w Korczynie, miejscu urodzenia ks. biskupa Pelczara, zbudowany jego kosztem.



Jubileusz ks. biskupa Pelczara: Namiestnik Korytowski z radcą Żeleskim udają się na obchód jubileuszowy.

jest niespełna miesiąc po rozpoczęciu składki, a suma zebranych datków dochodzi kwoty czterdziestu kilku tysięcy koron.

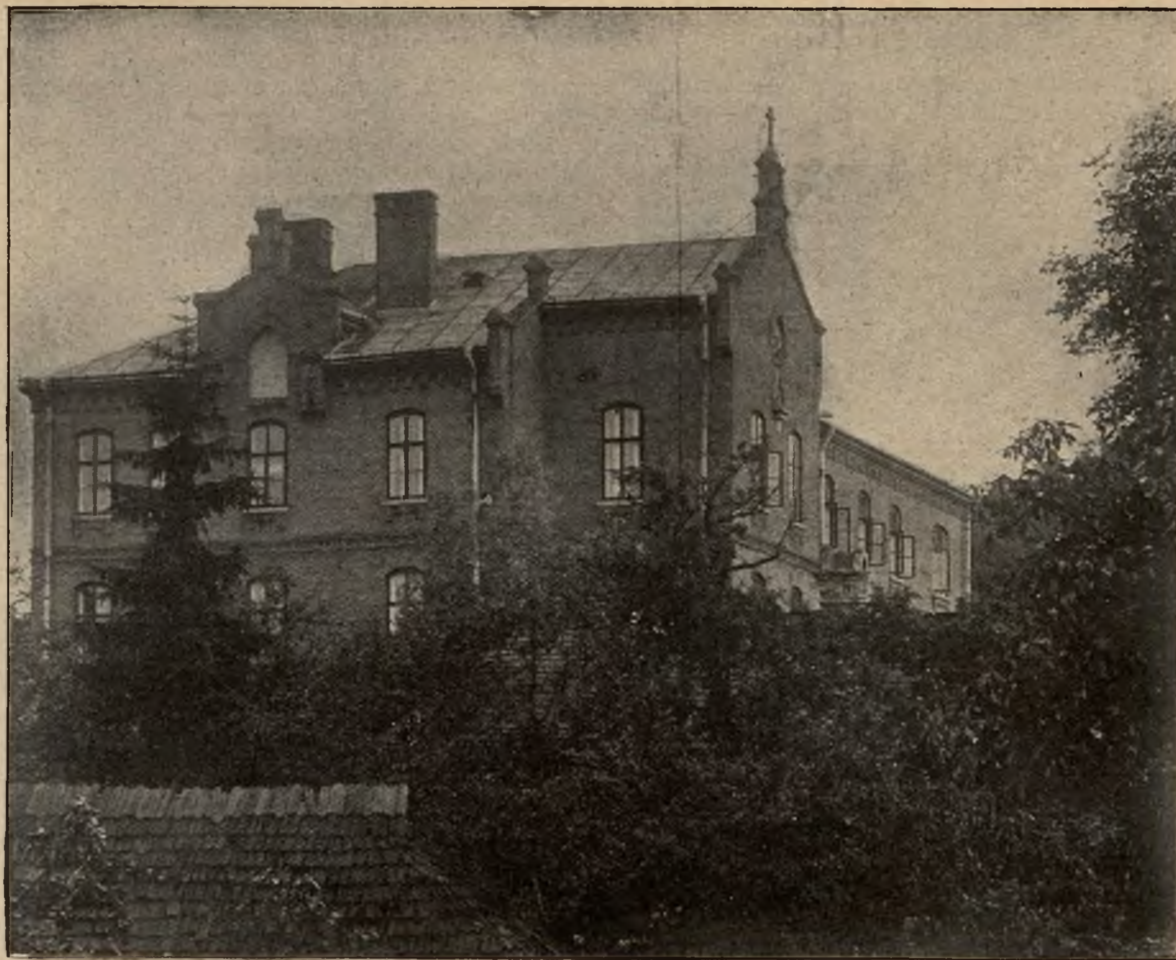
Ćwierćwiecze działalności księdza-obywatela.

Popularny i powszechnie lubiany w Krakowie ksiądz prepozyt kościoła uniwersyteckiego św. Anny ks. dr. Józef Caputa obchodził w tych dniach jubileusz ćwierćwiecza kapłaństwa. Urodzony w r. 1865 w Lipowej koło Żywca po ukończeniu gimnazyum wadowickiego w r. 1885 wstąpił do seminaryum duchownego w Krakowie, gdzie w r. 1889 otrzymał święcenia kapłańskie. Jako wikary w Wadowicach i przy kościele Maryackim w Krakowie uzyskał na Uniwersytecie Jagiellońskiem doktoraty teologii i filozofii. W roku 1904 otrzymał od Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego prezentę na probostwo kościoła św. Anny, osierocone przez ś. p. ks. J. Bukowskiego. Od tego czasu rozwinął obecny ksiądz jubilat szeroką działalność jako gospodarz swej fary, świetny kaznodzieja i działacz społeczny. Wszedłszy w roku 1912 do Rady miejskiej Krakowa zaznaczył się ks. dr. Caputa jako wybitna indywidualność kapłana-obywatela, stojącego na straży przedewszystkiem interesów moralnych miasta, walcząc z nadmierną liczbą szynków i t. p. Jako troskliwy gospodarz przepięknej świątyni — jedynego w swym rodzaju kościoła w Polsce — otoczył go ksiądz jubilat opieką godną tego wspaniałego zabytku, odnawiając go wciąż i uświetniając inwestycyami.

Żywotną swą wielce akcyą społeczną zdobył sobie ks. Caputa popularność, sięgającą daleko poza obszar Krakowa, a podniosłe i świetne kazania wydane nawet w dziele p. t. „Konferencye duchowne“ zjednały mu sławę w całym polskiem społeczeństwie katolickiem.



Co się dzieje w Ulsterze: Lord Carson wręcza sztandary oddziałom rewolucyjnym.



Jubileusz ks. biskupa Pelczara: Instytut dla studentów polskich w Przemyślu, wybudowany kosztem biskupa Pelczara.

Co się dzieje w Ulsterze.

„Flegma angielska“ — ta znana substancya dziwnej natury nadająca synom Albionu hartowną stanowczość, przysłowiowy spokój i panowanie nad wzruszeniami — przebija się też w niezwykłej rewolucyi ulsterskiej. Rewolucya ta jest faktycznie niezwykłą i trudną wprost nawet do pomyślenia na kontynencie — albowiem przygotowuje się spokojnie jak jakiś obchód narodowy — ludzie się zbroją, ćwiczą wojskowo, pilnie a systematycznie i okazują coraz groźniejszą postawę wobec pokojowych i dualistycznych tendencyj rządu.

Początkowe, o operetkowem zakroju ćwiczenia, przerobiły się w formalne manewry, już doskonale wyćwiczonych pułków ochotniczych. Są to już żołnierze — na wszystko przygotowani, karni, a głównie mający zapał i wielką ochotę do walki — zalety zaiste godne ważniejszych celów, jak lojalna nielojalność przeciw koncesyom dla Irlandczyków. Ostatnio, gdy Izba lordów zajęła się poważnie i definitywnie home rule'm, a parlament Amending billem t. j. prawami dla ludności irlandzkiej, „unioniści“ czyli ochotnicy z Ulsteru wykazują coraz większą zaczepność, demonstrując hałaśliwie i groźnie już przeciw temu. „Nie uznajemy praw Irlandczyków w Ulsterze“ — to ich hało, którego postanowili bronić z orężem w ręku. Rząd jest w kłopocie, gdyż sprawy zadaleko zaszły, humorystyczny wódz takiejże armii, sir Edward Carson, stał się już faktycznym dyktatorem Ulsteru i doskonaląc swą armię rządzi się w tej części kraju, jak szara gęś. W tych dniach obchodzili „unioniści“, bo tak się nazywają, uroczystość pamiątkową bitwy Wilhelma III. orańskiego pod La Boyne w 1690 r., przyczem zajęli oni wobec wojsk rządowych bardzo groźną postawę. Na szczęście przeszła spokojnie, ale, co przyszłość przyniesie, nie wiadomo.



Co się dzieje w Ulsterze: Lord Carson odbywa rewię rewolucyonistów, witany przez nich owacyjnie.

Sensacya Paryża.

Paryż ma zawsze sensacye, szczęśliwe miasto!... dla plotkarzy, ciekawskich i dziennikarzy — podczas



Sensacya Paryża: Zastrzelony redaktor „Figara" p. Calmette

kiedy gdzieindziej muszą sobie suszyć głowy nad bodaj sztucznemi sensacyami — paryscy koledzy mają ich stale nadmiar i to pierwszorzędnych. Naprzykład teraz — proces ministrowej Caillaux — same niezwykłości — ona piękna kobieta, ministrowa, Paryżanka umiejąca z szykiem nosić nawet... kajdanki i habit więzienny.

Proces rozpoczął się w tych dniach a rozpisany jest na 6 tygodni. Akt oskarżenia zarzuca pani Caillaux mord z premedytacyą. Pani Caillaux w śledztwie utrzymywała, że takiego zamiaru nie miała, że tylko chciała „dać nauczkę" Calmette'owi, że dopiero po wejściu do jego salonu redakcyjnego ogarnęło ją oburzenie, nad którem nie mogła zapanować. Rozprawa sądowa stwierdzi, czy pani Caillaux działała rzeczywiście pod „niepowstrzymanym przymusem", który wyłącza karę.

Oskarżoną broni adwokat Labori, który w tej samej sali rozpraw występował w obronie Zoli przed 16 laty, który tutaj stał jako obrońca u boku osławionej Teresy Humbert, obwinionej o oszustwa na 100 milionów franków, który bronił Lemoine'a, wynalazcę wyrobu sztucznych dyamentów. — Labori, osobisty przyjaciel zabitego Calmette'a jest obecnie obrońcą pani Caillaux.

Jako świadkowie występują wybitne osobistości jak powieściopisarz Paweł Bourget, pani Louise Mesagne Estradère z hr. della Rocca, wdowa Painlevé i Ceccaldi, były prezydent gabinetu Barthou, Józef Caillaux, były minister, mąż oskarżonej, pani Berta Guedan, pierwsza żona ministra Caillaux i wielu innych.

To też zaciekawienie tym procesem jest wielkie — i tłumy publiczności zgłaszają się po bilety wstępu — niestety wydają ich małą liczbę, bo przestrzeń sali nie pozwala dopuścić wiele publiczności, za to zarezerwowano aż 144 miejsc dla dziennikarzy, a ci zaleją prasę powodzią swych sprawozdań.

Ludzie aeroplany.

(Do illustracyi na str. 10).

Mimo wszystkich wynalazków naszej epoki przekonujemy się, że najkapitalniejszą maszyną i wynalazkiem jest człowiek. Ludzki mechanizm tak fizyczno-chemicznie skombinowany góruje nad wszelkiemi kombinacyami tem, że do wszelkich okoliczności da się zastosować, na deszcz i pogodę, zimę i lato. Są już wprawdzie maszyny do liczenia, grania, śpiewania, froterowania, koszenia, pisania etc. etc., nikt jednak nie widział gramofonu — froterującego salon, albo „Unterwood'a" śpiewającego aryę z Toski. A człowiek to potrafi! i potrafi połączyć wiele innych skombinowanych czynności jak np. zaciąganie długów na podpis fałszywy i t. p. Naśladować zwierzęta umieli już ludzie w czasach przed potopem — a obecnie wielu to bardzo lubi, tak doskonale naśladując osłów, gęsi i... inne, tak doskonale, że lepiej nawet od oryginału. To przestało już należeć do sztuk i atrakcyj, giętki umysł ludzki rzucił się do najświeższych wynalazków np. samochody — większość ludzi chodzi obecnie zupełnie samodzielnie nawet bez pomocy laski, a ostatnio znaleźli się ludzie udający z powodzeniem samoloty. Ludzie aeroplany — to coś nowego — ludzie latający po powietrzu — bez skrzydeł — jest to trupa gimnastyków Hegelmanna popisująca się codziennie w Parku



Sensacya Paryża: Pani Caillaux w swym buduarze.

Zabawowym we Lwowie. Na 14 metrów wysokiem wiązaniu belkowym, 10 zręcznych gimnastyków dokazuje wprost cudów gimnastycznych, naśladując wzloty i ewolucye aeroplanów. Ludzie ci zdają się nic nie ważyć, na wszystko się ważąc w swych karkołomnych koziołkach. Do jakiej doskonałości dochodzi ludzka zręczność to właśnie zaobserwować ją można na członkach trupy Hegelmana i naszej illustracyi, schwyconej w czasie przedstawienia.



Kurs handlowo-przemysłowy dla nauczycieli: Uczestnicy kursu podczas wykładów w szkole przemysłowej w Krakowie.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

8

— Wiem o tem, — westchnęła, — ja czuję, że się rozchoruję poważnie, jeśli nie wyjadę; a ty, Romciu?

— Ja?... Naturalnie, że chcę i pragnę tego... ostatecznie wszyscy prawie wyjeżdżają z miasta dla poratowania zdrowia, ale czy to odemnie zależy?

— Tylko od pani, — rzekł poważnie Marski, — kobiety wogóle, a żony w szczególności, mają tysiące sposobów przekonania mężów. Trzeba tylko chcieć, a napewno każda z pań zrobi, co zechce.

— Nie rozumiem tego, — uśmiechnął się Bachmacki, — ażeby którykolwiek mężczyzna, a cóż dopiero mąż, oparł się prośbom i wdziękom pań.

— Chyba, że kobieta nie posiada za grosz sprytu i rozumu, — zaśmiał się Niedzicki.

— Albo też, że woli kwękać, chorować, brzydnąć, zamiast wrócić świeżą, piękną, zdrową, — dorzucił Bachmacki.

Panie nie potrzebowały tych zachęt. Każda z nich pragnęła szczerze wyjechać na lato. Najpierw, że wyjazd należy do dobrego tonu i szanująca się żona powinna wyjechać; następnie, zawsze to nowość wrażeń i otoczenia; wreszcie, dobrze jest pozbyć się na jakiś czas obowiązków żony i gospodyni; mąż będzie tęsknił, mieszkanie się odświeży i jest sposobność do zrobienia kilku koniecznych sprawunków i zaopatrzenia się w nieodzowne rzeczy.

— Wiesz, Romciu, ja jadę, — zawołała Natalcia.

— Pani jest dzielna i energiczna kobieta, — chwalił Bachmacki, — takie są godne uwielbienia, ale nie te ślamazarne, co się pokornie poddają cudzemu kaprysowi, chociażby ze szkodą swego zdrowia, humoru i sił, — patrzał z wyrzutem na Romcię.

Romcia z natury była domyślna, zrozumiała też natychmiast, że on pragnie, ażeby ona była nietylko godną uwielbienia, ale przewyższyła swą przyjaciółkę. Nie uważała jednak za stosowne naśladować Natalcię i dla formy spytała ją, udając, że nie słuchała apostrofy Bachmackiego:

— I napewno, Natalciu, jedziesz? czy mąż wie o tem?

— Jadę, i zaraz ci powiem, dlaczego, — nachyliła się ku Romci i szeptała dość długo, co Romcia przyjęła z uśmiechem porozumiewawczym, skinieniem głowy, wreszcie rzekła:

— W takim razie musisz jechać... Zdaje mi się, że i ja pojadę. Wahałam się dotychczas, ale teraz już się zdecydowałam, — spojrzała na Bachmackiego, który skinął głową z wielkiem uznaniem.

— Zaś ja posłucham nareszcie doktora i męża i także wyjadę, — odezwała się Stasia.

— I jak to będzie cudownie, Romciu, — zawołała ucieszona Natalcia, — że będziemy razem. Wiesz, wycieczki do lasu... poziomki... nowi ludzie, przytem muzyka, koncerty, zabawy.

Romcia, wdzięczna za pierwszą usłyszaną pochwałę swego kapelusza, powiedziała serdecznie:

— I kochana pani Stasia z nami... koniecznie... dopiero będziemy się bawiły.

Natalcia na propozycyę Romci skrzywiła się, ale Niedzicki, ze względu na przyjaźń łączącą go z Marskim, rzekł z miną arbitra nieomylnego, a wiedział, że za takiego uważa go Natalcia:

— Tylko ludzie, którzy mają coś nieczystego do ukrywania, szukają nowych znajomości w zdrojowiskach lub letniskach, a jaśni i czyści zawsze wolą dawnych znajomych. Nie ulega też wątpliwości, że im liczniejsze kółko będzie „swoich", — podkreślił ten wyraz, — tem milszy pobyt i weselsza zabawa. Sądzę tedy, że obecność pani Stasi będzie podnietą do zabaw i niespodzianek.

— Naturalnie... tak jest, — przytakiwała Natalcia obowiązkowo.

— A cóż będzie z nami, gdy panie wyjedzie-cie? — zawołał Marski, patrząc z pod oka na Stasię, — my tu z nudów pomrzemy.

— Tak źle nie będzie, — zaśmiała się Romcin, — i spodziewamy się, że nas zechcecie odwiedzić.

— To rozumie się samo przez się, — odezwał się Bachmacki, — dobrzeby jednak było ułożyć się, dokąd panie wyjadą, no, i kiedy?

Posypały się nazwiska różnych zdrojowisk i letnisk. Panie nie znały wprawdzie żadnej miejscowości i w żadnej nie były, ale słyszały o zabawach i wycieczkach w Zakopanem i mniej więcej stanęło na tem, że dla poratowania ich nadwątlonego zdrowia byłoby najodpowiedniejszem Zakopane.

— Boże! — krzyknęła nagle Natalcia, zrywając się z krzesła. — Już pół do drugiej!... Obiad, mąż, dziecko... I dlaczego mi pan nie powiedział? — spojrzała oburzona na Niedzickiego.

— Stanął mi zegarek, — uśmiechnął się spokojnie.

— Kłamstwo! Już idę!

Równocześnie wstały Romcia i Stasia, spiesząc się z wyjściem.

— Poco tak nagle!? — zawołał flegmatycznie Marski, — co wielkiego, że zje później, trzeba się rozpłacić...

— A płaćcie lub nie, — powiedziała z gniewem Natalcia, — idę... mąż, i właśnie, gdy mam wyjechać!

Niedzicki wstał, ażeby odprowadzić, ale Marski i Bachmacki szepnęli:

— Zostań... poco?

Panie wyszły. Stasia skręciła w jedną stronę, a Romcia i Natalcia poszły w drugą.

— Ile ci pożyczył Bachmacki? — spytała Natalcia obcesowo, idąc spiesznie.

— A ty skąd wiesz? — zdziwiła się Romcia.

— On mi mówił, tylko cyfry nie chciał powiedzieć.

— A! Jaki on podły, a tak przysięgał, — mówiła zaczerwieniona, — dziś pójdę do mamy, i zastawię, sprzedam, a oddam temu plotkarzowi.

— No, a ile? — nalegała Natalcia.

— Głupie pięćdziesiąt koron i robi tyle hałasu... powiem ja jemu.

— Uspokój się, on nic nie mówił, ani słowa!

— Nieprawda! Teraz chcesz go bronić.

— Jak Bozię kocham, nie on!

— Więc kto? Tem gorzej, że wszystkim rozpowiada, taki podlec!

— Naprawdę, jak ciebie kocham, o nie mówił ani mnie, ani innym.

— Nie wierzę.

— Jak Irenusię kocham.

— Nie!

— Jak pragnę wyjechać!

— A, to co innego, więc skąd wiesz, jeśli on nie mówił?

— Domyśliłam się sama, przecież taka głupia nie jestem, ażebym przypuszczała, że mąż ci dał, a ponieważ on się w tobie zadurzył on tylko mógł dać.

— I prawdę mówisz Natalciu?

— Jeśli mi nie uwierzysz, pogniewam się. Czyż ci się nie zaklęłam?

— No, dobrze, już wierzę, ale pamiętaj, Natalciu, nikomu ani słowa.

— To się rozumie samo przez się. I czego on wymagał dając pieniądze?

— Niczego. Mówił, że mu łaskę zrobię.

— Oni zawsze tak mówią, — uśmiechnęła się z wyższością jaką daje doświadczenie, — a potem dopiero wyłazi szydło z worka.

— O, nie ze mną, ja mu oddam. Dziś już odłożyłam dwadzieścia halerzy.

— Nie sądzę, ażebyś była Romciu taka głupia, czy nasz uśmiech, spacer z nimi, pozwolenie spotkania się z nami, nic nie są warte? Niech płacą... głupi daje, mądry bierze, — zaśmiała się wesoło.

— Kiedy mi jakoś wstyd.

— Bo nie jesteś doświadczona... No, a jak z mężem, czy pozwoli na wyjazd? — zbliżyły się do miejsca rozstania przy skrzyżowaniu ulic.

— A ty, Natalciu? Czy on już się zgodził?

— Nic nie wiem. Odprowadź mnie kawałeczek, pogadamy.

— Nie, nie mogę... mąż czeka.

— To i co z tego? Trzeba ich przyzwyczajać.

— Nie! Mąż... Marcinowa... nie mogę, — stanęły obydwie.

— Śmieszna jesteś, kto się liczy ze służącą? na to służy, ażeby czekać, a twój mąż nie da sobie krzywdy zrobić, zje bez ciebie. Co innego ja, czeka Irenusia, no i on.

— Wiesz, Natalciu, odprowadź mnie, i tak zgodzi się twój mąż na wyjazd.

— Może... a z twoim co będzie?

— Będę go prosiła.

— Najgorzej w świecie, tylko nigdy o nic nie prosić, bo zaraz mu się zdaje, że robi łaskę, że jest panem, że od niego wszystko zależy. Wierz mi, że jak poprosisz, on napewno się nie zgodzi.

— Więc co mam robić?

— To zależy od tego, jak ze sobą żyjecie? Jeśli bardzo blisko i serdecznie, wystarczy czasem cicha skarga, smutek i nadzwyczajna troskliwość o niego. A jeśli żyjecie tak sobie, od czułości do czułości, potrzebna wtedy jakaś choroba, zniechęcenie, niezajmowanie się nim, domem, aż do porady doktorskiej.

— Takie rzeczy znam, — uśmiechnęła się, — i dla innego, na przykład dla twego męża wystarczy choroba, ale mój żartuje z tego, kpi, i wcale nie uważa.

— To zachoruj naprawdę.

— Ale na jaką chorobę? Doktor pozna i co będzie? — Dopytywała się niespokojnie.

— Wiesz, choruj na serce, bardzo trudno poznać, było bicie serca, duszności, i niema, — zaśmiała się.

— A ty, co myślisz Natalciu?

— Jeszcze nie wiem, zobaczę... może wmówię mu, że chory, chociaż to gorzej, bo pojedzie razem. Zastanowię się... A ty jak myślisz? Czy kupować osobny kostium na wycieczki?

Temat ten był tak interesujący, że obydwie panie, gdy słońce im dokuczyło, przeszły na drugą stronę ulicy będącą w cieniu i rozmawiały z wielkiem ożywieniem, zapomniawszy o pośpiechu. W najciekawszem jednak miejscu musiały urwać, nadeszli bowiem ich mężowie, cokolwiek zawiani i jak to zwykle bywa rozczuleni:

— Natalciu! Złoto moje! — wołał Szabelski, i otworzywszy ramiona, chciał ją ucałować. Usunęła się szybko, a on mówił z czułością: — pewno niespokojna poszłaś mnie szukać. Chwała Bogu nic złego... trochę, uważasz, tego... ale to nic!... A, i pani Winecka! — ucałował głośno jej rękę, — Moje uszanowanie! Także dobra, przykładna żona, ale ja męża prowadzę, a jakże!...

— Kłamie, Romciu? Jak Boga mego, kłamie! — bił się z wielką siłą w piersi. — To ja jego wyciągnąłem, — wołał lekko się kołysząc.

— Panie, korzystając z bezbronności swych mężów, nie szczędziły dotkliwych, chociaż delikatnych wyrzutów i przykładnie zaprowadziły ich do domów.

IV.

Handel pod św. Janem cieszył się nietylko sławą doborowych towarów, smacznych śniadań i dobrego piwa, ale bodaj czy nie w znaczniejszej mierze dobranem, a poważnem towarzystwem swych stałych klijentów.

Gromadzili się w nim w południe i wieczorem zasobni kupcy, właściciele kamienic i zakładów, rajcy i urzędnicy magistratu, wyżsi rządowi urzędnicy, będący w służbie i na emeryturze, ale, co dziwniejsze, poważne sklepione izby mieściły w sobie także opozycye autonomiczną i rządową, która przynajmniej w tym zakładzie żyła w przykładnej zgodzie ze swymi przeciwnikami, a swe odrębne i samodzielne stanowisko zaznaczyła jedynie siedzeniem przy osobnych stołach.

W tym to poważnym i sędziwym przytułku mieli swój stół zastrzeżony panowie Szabelski, Winecki, Orszycki i kilku bliższych znajomych, niemal przyjaciół, a pomiędzy nimi były właściciel warsztatu blacharskiego, starszy człowiek Blum, który wycofał się z interesu, kupił kamienicę i był kapitalistą.

Na jaki kwadrans przed zwykłą porą zbierania się u stołu przyszedł Orszycki, niemłody, średniego wzrostu, z miną poważną obejrzał pusty stół, nakryty bibułą, powiesił na wieszadle, w swem stałem miejscu, kapelusz i laskę; otarł pot z czoła, gdyż dzień i wieczór był gorący, zasiadł na swem krześle, znacząco chrząknął i obejrzał się za usługującym chłopcem.

Po chwili zbliżył się do stołu wyrostek, lat około czternastu, z przyjemną twarzą wesołego łobuza i wypowiedział dźwięcznym głosem stereotypowe pytanie:

— Co pan radca każe?

Orszyckiego, właściciela zakładu litograficznego, tytułowano wogóle radcą, gdyż swego czasu jego przyjaciele i znajomi postawili w swem kółku jego kandydaturę na radcę miejskiego. Wprawdzie nie otrzymał tej godności, ale tytuł pozostał, i on ze względu na niedoszły wybór należał do opozycyi.

Nad pytaniem chłopaka zastanowił się po-

ważnie Orszycki, jakkolwiek pytanie powtarzało się codziennie, jak również jego odpowiedź.

Oparłszy oba łokcie na stole, przygryzając lekko jeden palec u rąk złożonych przy ustach, rzekł po namyśle:

— Przynieś mi, Władziu, bombę...

— Wiem, świeżego, — uśmiechnął się chłopak.

— Tak jest! Żadnych zlewków, — dodał gość poważnie.

— Wiem, panie radco.

Gdy Władek postawił bombę piwa przed Orszyckim, ten okiem znawcy spojrzał najpierw na gęstą, równą pianę, skinął głową z uznaniem; następnie podniósł szklanicę w górę, pod światło, popatrzył, znów skinął głową i z uroczystą powagą postawił przed sobą, westchnąwszy głęboko.

— Czy bombka niedobra? — spytał chłopak z uśmiechem.

Gość w odpowiedzi nadpił piwa, otarł ręką sztucznie przyćmione wąsy i odrzekł:

— Niezła! — jakkolwiek naprawdę uznawał, że piwo było dobre i nalane doskonale. Znów westchnął głęboko, wydobył cygaro, odciął koniec, który schował do kieszeni kamizelki, zapalił cygaro od zapałki podanej mu przez chłopaka, smutnie pokiwał głową i przygładził krótkie, szpakowate włosy.

— Pan radca coś nie w humorze, — rzekł chłopak dość poufale, wygładzając bibułę na stole.

— Powiadam ci, Władziu, — odrzekł sentymentalnie, wypuszczając kłąb dymu, — nie żeń się!

Chłopak wybuchnął krótkim, urywanym śmiechem i zawołał wesoło:

— Ja nigdy się nie ożenię. Co mi po babie?

— Tak się to mówi, — pokiwał posępnie głową, — a jednak ożeniłem się, — westchnął.

— Co tam panu radcy żona!? — zaśmiał się, — pieniądze są, zdrowie jest, humor także, i co żona wadzi?

Orszycki z politowaniem spojrzał na chłopaka, już otworzył usta, ażeby mu powiedzieć mądrą sentencyę, zdobytą doświadczeniem, gdy któryś z gości odwołał Władzia. Orszycki westchnął i pomyślał: co taki chłystek może wiedzieć o żonie, ożeń się, dopiero poznasz.

I nie bez goryczy uprzytomnił sobie, że jego żona, Stasia, zacności kobieta, już blizko dwa tygodnie kwęka. Zawołał nawet doktora, który kosztował aż sześć koron, a byłby wziął dziesięć, gdyby mu nie był przygotował setki biletów wizytowych.

W tej chwili wszedł do lokalu człowiek z siwą brodą, z barami rozrosłemi i zawołał grubym, jowialnym głosem:

— Dobry wieczór! Cóż to, radca sam?

— Jak prezes widzi.

Blum, niegdyś blacharz, dziś kapitalista, zwany był prezesem, gdyż kiedyś na pierwszem zebraniu założycieli kasy zaliczkowo-oszczędnościowej został obrany dla wieku swego przewodniczącym posiedzenia. Zdjął melonik, usiadł przy stole, zawołał głośno o bombę piwa, i patrząc na towarzysza stołu, spytał:

— Coś radca kwaśny, czy piwo złe?

— To, nie! Piwo niezłe, — wypił resztę i kazał dać świeżą bombę.

— Więc co takiego, — dopytywał się prezes, — czy interes kuleje? brak zamówień?

— Ależ nie, ledwie mogę nadążyć.

— Cóż? Nie płacą?

— Ciężko, jak zwykle, ale człowiek już przywykł do tego.

— Czy może coś publicznego? Czy nowy wybieg magistracki?

— Dość mamy starych nadużyć, naco nam nowych?

— Więc to prywatne kłopoty?

— Tak jest, niestety, osobiste, — westchnął i popił piwa ze świeżej bomby.

W czasie tej rozmowy przyszli panowie Szabelski i Winecki. Przywitali się i wysłuchując rozmowy usiedli przy piwie.

— Prywatne? powiada radca, — pokręcił prezes głową, — a wolno wiedzieć, jakie to są kłopoty? czy to tajemnica?

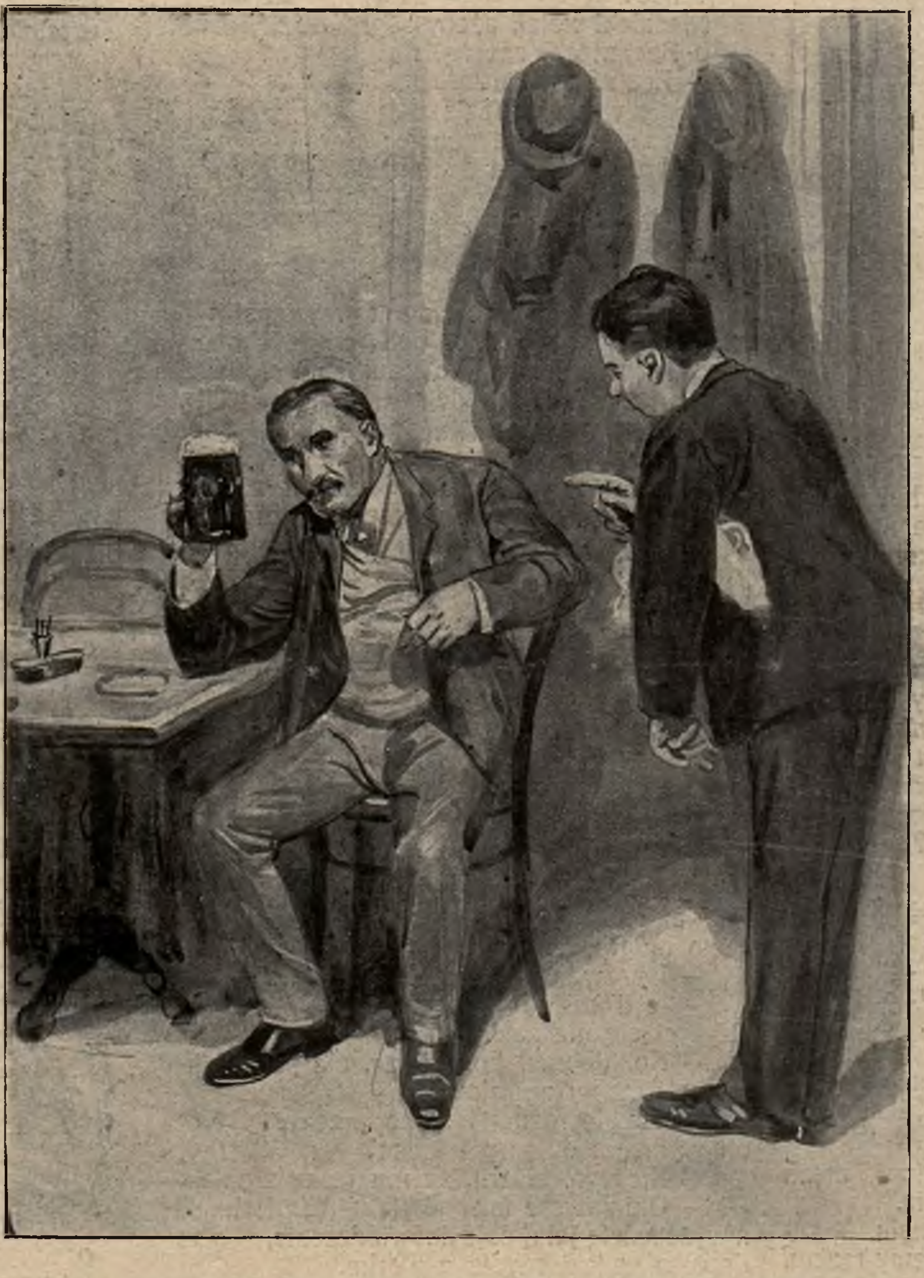
— Nie mam potrzeby ukrywania, to są kłopoty z żoną.

— Z żoną!? — zaśmiał się prezes głośno, aż goście z innych stolików spojrzeli w jego stronę, — a to paradne! — śmiał się, — i radca nazywa je: prywatne? Słyszy pan budowniczy? — zwrócił się ze śmiechem do Wineckiego, — słyszy pan radca? — spojrzał na Szabelskiego, który także raz kandydował na rajcę miejskiego.

Właściwie, ani Szabelski, ani Winecki, nie widzieli nic śmiesznego, ale prezes był kapitalistą, właścicielem kamienicy i zawsze bądź co bądź prezesem, więc, ich dobre wychowanie nakazywało brać udział w jego śmiechu.

Ta ogólna wesołość ze słów jego obraziła Orszyckiego, wyjął z ust cygaro i rzekł zniecierpliwionym głosem:

— Nie rozumiem tego śmiechu, bo i co jest w tem zabawnego, że mam kłopot z żoną?



Następnie podniósł szklanicę w górę, pod światło, popatrzył, znów skinął głową...

— Ależ radco, — usprawiedliwiał się prezes, — nie kłopot z żoną jest śmieszny, ale to, że radca nazwał te kłopoty prywatnymi.

— A to mi się podoba, — zawołał Orszycki prawie oburzony, — czyż mój kłopot z żoną należy do publicznych? Czy dałem powód do skandalu? Czy pisano o mnie w gazetach?

— Zaraz, radco, — mówił prezes poważnie, — zważ radco, że małżeństwo jest instytucyą publiczną i kościelną. Tak, czy nie?

— No, tak, — potwierdził prezes niepewnym, nigdy bowiem nie wiedział, czy zdanie jego jest słuszne i czy utrzyma się wobec przeciwników.

— Jeśli tedy małżeństwo jest sprawą publiczną, więc i kłopoty z żoną są publiczne, a nie prywatne. Czy nie tak? — śmiał się, a wraz z nim Szabelski i Winecki.

Nie mógł się na razie połapać Orszycki i z miną zaskoczoną mówił:

— Co też prezes gada? Wstyd doprawdy; co ma moja żona wspólnego z publicznością?

— Ależ radco, trochę zastanowienia, — upomniał prezes przyjaźnie, — każdy żonaty ma kłopoty z żoną, czyli że takie kłopoty są powszechne... Czy radca Szabelski nie ma kłopotów z żoną?

— Hm... wielkich, co prawda, nie mam, ale niedawno zachorowała mi na serce. Doktor, panie tego, radził wyjazd, ale jej jakoś wyperswadowałem... kupiła sobie jakąś suknię, no i myślałem, że już spokój...

— No i co? — spytał z żywością Orszycki.

— Ano, z nią dobrze, ale dziecko coś niedomaga, jakiś kaszel, duszności, nie wiem, panie tego, co powie doktór? Może każe wyjechać? A to panie kłopot, — westchnął Szabelski, — niewygoda tutaj, a płać, a dawaj, a pilnuj...

— Żonę, — przerwał mu z uśmiechem prezes, — toć wiadomo, że każda kobieta potrzebuje opieki i nadzoru.

— Hm... coś w tem prawdy, — skinął głową Orszycki, — młoda i ładna żona podoba się, to wiadome i potrzebuje opieki.

Szabelski zgodził się natychmiast na ten pogląd, natomiast prezes uśmiechnął się złośliwie, a Winecki rzekł z naciskiem:

— To zależy od męża. Jeśli mąż pozwala zrazu żonie na wszystko, wtedy ona paraduje, robi, co chce, stroi się dla drugich i jeśli on nie chce mieć rogów, musi pilnować. Ale u mnie inaczej, żonę wziąłem dla siebie, nie dla posagu i protekcyi, — pił do Szabelskiego, — ani też dla wyprawy, — spojrzał na Orszyckiego, — musi mnie słuchać, a ja nie pozwalam na żadne fanaberye.

— Przechwałki i tyle, — zaśmiał się prezes, — mam, chwała Bogu, blizko siódmy krzyżyk, a jeszcze nie widziałem męża, któregoby żona nie wodziła za nos... Hej! Piwa!

— Otóż teraz zobaczy prezes takiego, — zawołał Winecki, — zaraz opowiem. Może dwa, może trzy tygodnie temu widzę, że coś brakuje żonie. Pytam po dobroci, Romciu, co tobie? A ona odpowiada, nic mi, tylko ty, niby ja, niecierpliwy, rozdrażniony... Jakże nie mam być, mówię do niej, kiedy ty taka osowiała, ni do tańca, ni do różańca. Dopiero wylazło szydło z worka... No, zgadnijcie, co? — spojrzał po wszystkich, zapalił cygaro i nadpił piwa: — Myślicie, że chora? Co?

— Pewno na serce, — dorzucił Orszycki.

— Nie! Prosi mnie, ażebyśmy pojechali na wieś, bo ja tego potrzebuję dla zdrowia. Widzę ja, że jej się zachciewa pańskiej zabawy, bo czuje u mnie parę groszy i powiadam: basta. Zapowiedziałem jej, że nie wyjadę, a ty chcesz, to jedź sobie na wieś! Tak jej zagrałem. Na chytrość, chytrość, — spojrzał dumnie po obecnych.

— No i co? — spytał Szabelski, zaciekawiony.

— Cóż miało być? — uśmiechnął się Winecki lekceważąco. — Dopiero ona w prośby, w płacz, koniecznie, żebym jechał, że bezemnie nie pojedzie, ale ja, co raz postanowię, musi tak być. Zapowiedziałem, że dość mam tych kwękań nad sobą, pojedziesz sama, chciałaś się pochwalić, że wyjedziemy na lato, nic z tego, jedź sama.

— I dokąd to, panie budowniczy? — patrzał na niego bacznie Orszycki.

— Jeszcze nie wiem, ale do żadnych modnych zdrojowisk, nie do Zakopanego... Zapakuję ją do odległej wioszczyny i siedź tam w chałupie. No, odechce się jej wyjazdu na przyszły rok, — śmiał się, zadowolony ze siebie.

— To dobry sposób, — pochwalił Szabelski, — ale nie z każdą. Ja na ten przykład potrzebuję żony, mam w swoim czasie wszystko. To też nie pozwoliłem jechać i samemu nie chce mi się wyjeżdżać, chociaż nalegała i prosiła.

— Ja powiem wam, moi panowie, — zaczął prezes, — od trzydziestu lat siedzę przez całe lato w mieście i czuję się najzdrowszy. Czy mam gdzie takie wygody, jak u siebie, w domu? Jem, co chcę; piję, co zapragnę; śpię, kiedym senny; a chcę się wykąpać, mam wodę. I wam radzę siedzieć na miejscu, jeśli chcecie być zdrowi.

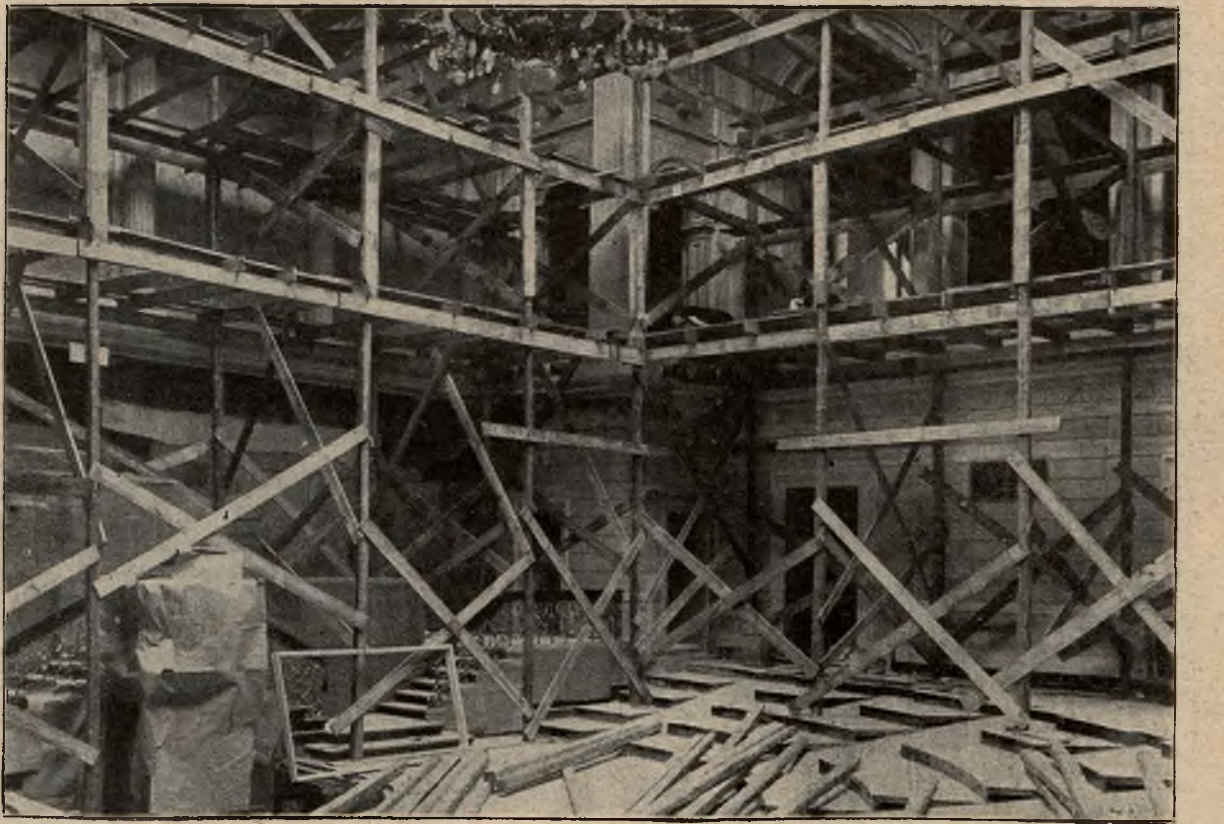
(Ciąg dalszy nastąpi).

Sejm galicyjski w nowej szacie.

Uchwalona dnia 11 lutego i już sankcyonowana nowa ordynacya wyborcza nadaje naszemu sejmowi nową strukturę polityczną. Nowe kurye, nowi ludzie, jacy z nich wejdą a nadto nowi z dawnych na mocy rozszerzonego prawa zmienią w zasadzie sejm przyszły, który wyjdzie z rozpisanych już obecnie nowych wyborów. Zmieni się skład sejmu i jakościowo i ilościowo, a nawet miejsce obrad t. j. gmach, który trzeba odpowiednio przygotować, odświeżyć — poszerzyć.

Gościnne mury gmachu sejmowego, którym tyle już wysłuchać przyszło, zaczęto restaurować, przysposabiając miejsce dla kilkudziesięciu nowych posłów. Wprawdzie niewiadomy jest jeszcze termin rozpisania nowych wyborów, roboty w gmachu sejmowym są w pełnym toku, jak to przedstawia nasza illustracya.

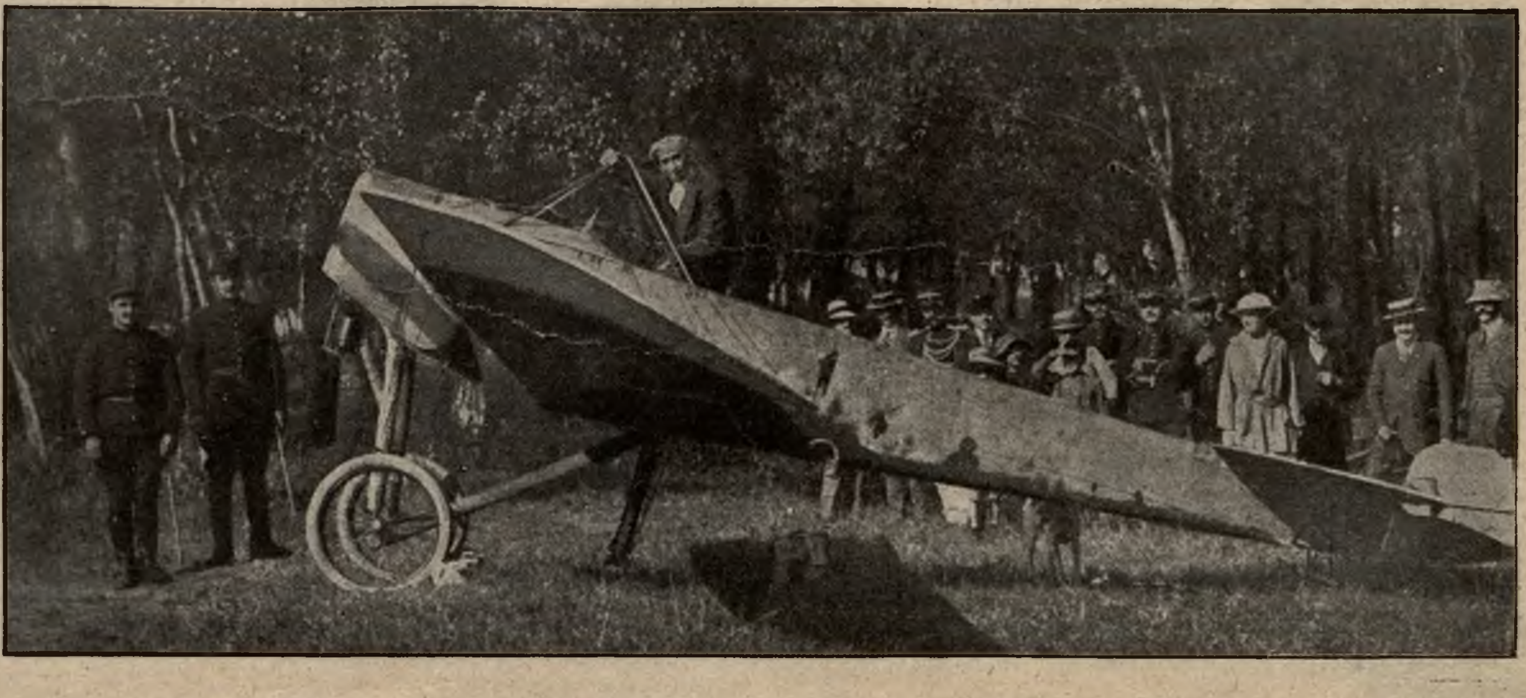
Znaczny przeciąg czasu pozwoli architektom i restauratorom pięknie gmach odnowić i... zbadać wytrzymałość murów na „muzyczne“ sesye, bo takie być mogą i to bardziej niż poprzednio dynamiczne. Warto się przygotować...



Sejm galicyjski w nowej szacie: Przebudowa sali sejmowej. (Fot. M. Müuz, Lwów)

Tragiczny zgon sławnego lotnika.

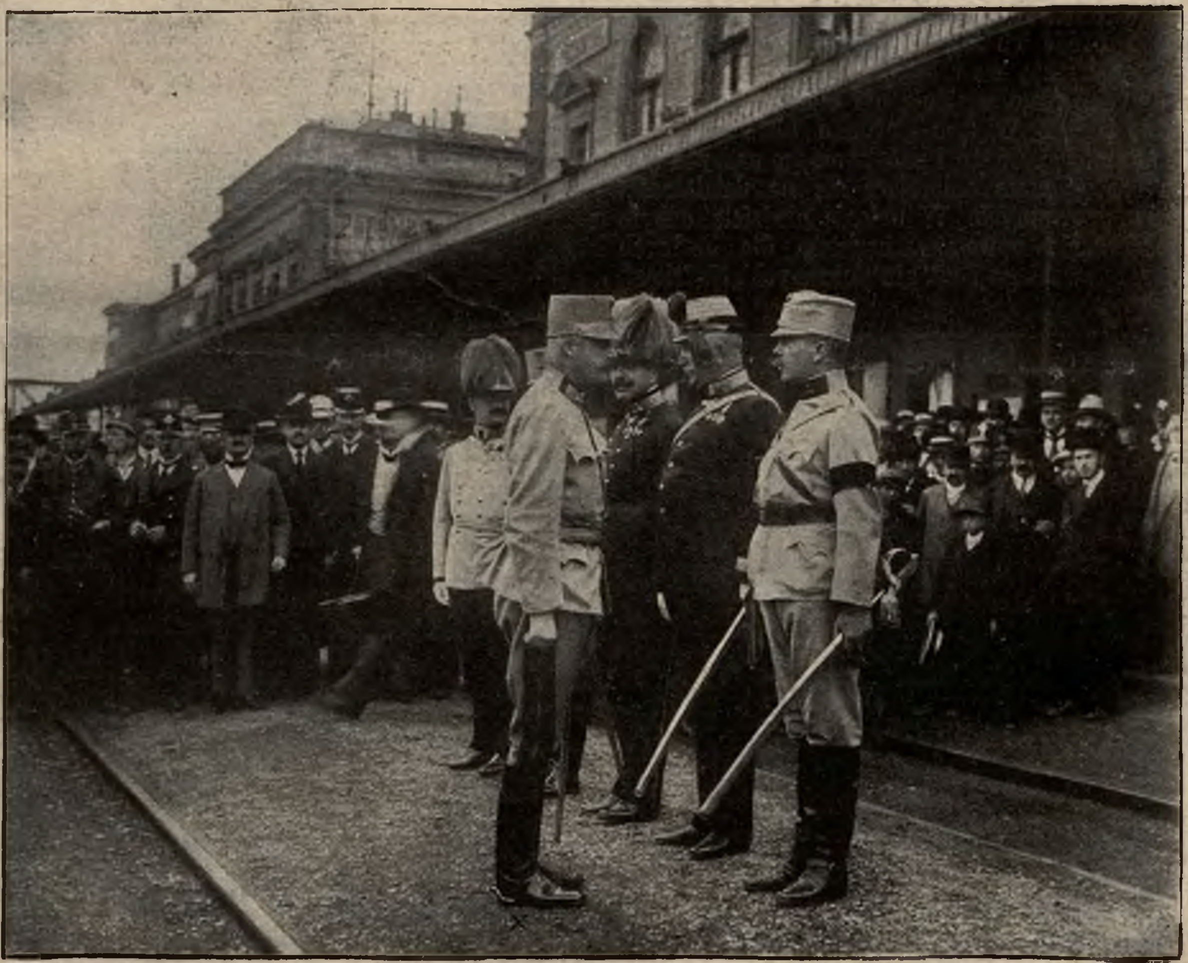
Sławny lotnik francuski Eugeniusz Legagneux, niezwykle śmiały i przedsiębiorczy pilot, zginął w tych dniach tragiczną śmiercią wskutek fatalnego upadku, w czasie wzlotów w Saumur ponad Loarą. Legagneux był początkowo monterem w jednej z paryskich fabryk automobilów, gdzie swą pomysłowością zwrócił na siebie uwagę znanego awiatora kapitana Ferbera, który zachęcił go do awiatyki. Jako najlepszy uczeń Farmana odznaczył się Legagneux pamiętnym wzlotem ponad Austryą w roku 1909, pierwszem tak śmiałem przedsięwzięciem lotniczem u nas. W kołach sportowych Francyi i całego świata zdobył sobie Legagneux pierwsze stanowisko. Dnia 27 grudnia 1913 roku w czasie wzlotów we Frejus pobił on konkurs wysokości, wzbijając się na wysokość 6.150 metrów. Legagneux należał do tej plejady pierwszych lotników świata, którzy w ostatnich latach tak wysoko awiatykę podnieśli, ale sami prawie już co do jednego wyginęli... biedni nowocześni Ikarowie...



Tragiczny zgon sławnego lotnika: Awiator Legagneux wyrusza w ostatnią swą podróż.

Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu.

Przemyśl podejmował w tych dniach dostojnego gościa, bawił tam bowiem poplarny i lubiany arcyksiążę Leopold Salwator, inspektor artylery. Do twierdzy przemyskiej ściągnęły arcyksięcia sprawy wojskowe, głównie inspekcya tamtejszej załogi — to też wizyta taki nosiła charakter. Honory gospodarzy czynili przed dostojnym gościem dygnitarze tamtejszego garnizonu: komendant twierdzy generał Kusmanek, szef sztabu generalnego pułk. Kralowetz w otoczeniu korpusu oficerskiego. Arcyksiążę badał sprawność pułku 10, dział polowych (haubic) w pobliskich Bakańczycach i forty w Siedliskach a podejmowany w kasynie wojskowem spędzał tam wszystkie wieczory swego pobytu.



Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu: Powitanie arcyksięcia na dworcu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kurs wakacyjny dla nauczycieli.

Towarzystwo zabaw ruchowych we Lwowie zorganizowało — podobnie jak w latach poprzednich — w dniach od 6—15 lipca b. r. wakacyjny kurs dla nauczycieli i nauczycielek, pragnących się zapoznać z systemem wychowania fizycznego młodzieży na wolnem powietrzu. Na kurs zgłosiło się 36 uczestników i uczestniczek, z najodleglejszych nawet stron kraju. Oprócz części praktycznej pod kierunkiem pp. Worosza i Rożka, obejmującej wszelkie gry i zabawy, lekką atletykę oraz gimnastykę szwedzką, odbyły się wykłady z hygieny i dietetyki ćwiczeń fizycznych, z ratownictwa, organizacyi gier i zabaw, o umiejętnem oddychaniu i o sportach zimowych. Prelegentami byli: prof. dr. Paweł Kučera, dr. Wł. Hojnacki, prof. Leopold Worosz i inżynier Lerski. Kurs zakończył się egzaminem, który wypadł bardzo dobrze. Następnie odbyła się uroczystość wręczenia świadectw, podczas której przemó-



Schronisko dla głuchoniemych: Uroczystość poświęcenia nowego schroniska Tow. głuchoniemych „Nadzieja" we Lwowie



Zgon austryackiego admirała Polaka: Admirał Juliusz Ripper.

wił wiceprezydent kraj. Rady szkolnej dr. Ignacy Dembowski.

Wyrazem niekłamanego zadowolenia ze strony uczestników było serdeczne przemówienie profesora Wójcika, który imieniem kolegów i koleżanek dziękował Towarzystwu zabaw ruchowych i Radzie szkolnej krajowej za trudy i życzliwość.

Schronisko dla głuchoniemych.

Lwów otrzymał świeżo bardzo pożyteczną instytucyę humanitarną, przytułek dla nieszczęśliwych głuchoniemych. Biedni głuchoniemi w jakże trudnych znajdują się warunkach, gdy zmuszeni są stanąć do pracy na równi ze zdrowymi, którym też nierzadko chleba brakuje. Biednym kalekom trudno o zarobek przy tak wielkiej podaży rąk zdrowych i w trudnych obecnie warunkach życia — a jednak żyć muszą, bo niesposób oddać ich beznadziejnej rozpaczy. Temu też zaradzić mają na celu przytułki dla tych nieszczęśliwych, gdzie znajdują oni odpowiednią opiekę i pole do pracy. W tym kierunku idzie akcya socyalizmu municypalnego i państwowego naszych czasów, u nas głównie opierająca się na działalności związków prywatnych. W ubiegłą niedzielę odbyło się poświęcenie nowego schroniska dla biednych członków lwowskiego Tow. głuchoniemych „Nadzieja"



Kurs wakacyjny dla nauczycieli: Uczestnicy i kierownicy kursu, zorganizowanego we Lwowie przez Towarzystwo zabaw ruchowych. (X) Wiceprezydent Rady szkolnej krajowej dr. Dembowski. (Fot. M. Münz, Lwów).



Dla uprzemysłowienia kraju: Uczestniczki i kierowniczki kursu kroju i szycia w Tarnopolu.

przy ul. Leśnej nr. 19. Ceremonii dokonał ks. Lisiak. Schronisko powstało w marcu za staraniem nowego prezesa, p. Józefa Jaworskiego, z dochodów wieczornic i ze składek członków Tow, głuchoniemych.

Illustracya nasza przedstawia uczestników uroczystości poświęcenia nowego schroniska.

Zgon austryackiego admirała Polaka.

W tych dniach zmarł w Wiedniu wybitny admirał floty austryacko-węgierskiej Krakowianin Juliusz Ripper. Pochodząc ze starej rodziny krakowskiej, urodzony dnia 6 marca 1847 r. na Podgórzu, od wczesnej młodości odczuwał powołanie do służby morskiej i już jako 14-letni chłopiec wstąpił jako kadet do pułku piechoty marynarki. Zostawszy w r. 1863 kadetem, a w 1869 chorążym, całą młodość spędził na morzu, odbywając dalekie podróże z flotą wojenną. W latach 1864 i 1866 wziął udział w wojnach morskich z Danią i Włochami. Jako



Pożar we Lwowie: Sklep przy ulicy Kazimierzowskiej L. 21. po pożarze.



Ostatnie dni ks. Wieda: Albańczycy.



Szkoła dla fryzyerów we Lwowie: Uczniowie i uczenice przy pracy

wie zasad, wydanych przez krajową komisyę przemysłową.

Obecnie, w czwartym roku istnienia szkoły, Rada szkolna krajowa zezwoliła na dopuszczenie dziewcząt-fryzyerek do nauki. Jest to zatem pierwsza szkoła koedukacyjna zawodowa uzupełniająca w kraju. W następnym roku szkolnym rozpocznie się kurs fryzyerstwa damskiego.

Szkoła rozwija się w szybkim tępie i w niedługim czasie będzie mogła rywalizować z podobną szkołą w Berlinie. Prócz przedmiotów teoretycznych uczą się uczniowie i uczenice w tej szkole rysunków zawodowych, chemii, towaroznawstwa, hygieny, wiadomości o ustroju państwa i o ustawach przemysłowych, strzyżenia, golenia, fryzyerstwa męskiego i damskiego, perukarstwa i charakteryzacyi teatralnej.

W bieżącym roku szkolnym odbyła się wystawa, która dowiodła, jak wielką korzyść z nauki mogą odnieść uczniowie chętni i regularnie uczęszczający na naukę.

Pożar we Lwowie.

Pożar mimo udoskonalenia techniki ratowniczej zwłaszcza w miastach jest jeszcze ciągle wielkim niszczycielem, pozostawiającym po swem przejściu zgliszcza i ruinę. Straszny to wróg ludzi i ich ruchomości, jak to uwydatnia najlepiej nasza illustracya, przedstawiającą ruinę, jaką onegdaj spowodował pożar i jego gaszenie w sklepie Jakóba Binenfelda przy ulicy Kazimierzowskiej pod L. 21 we Lwowie.

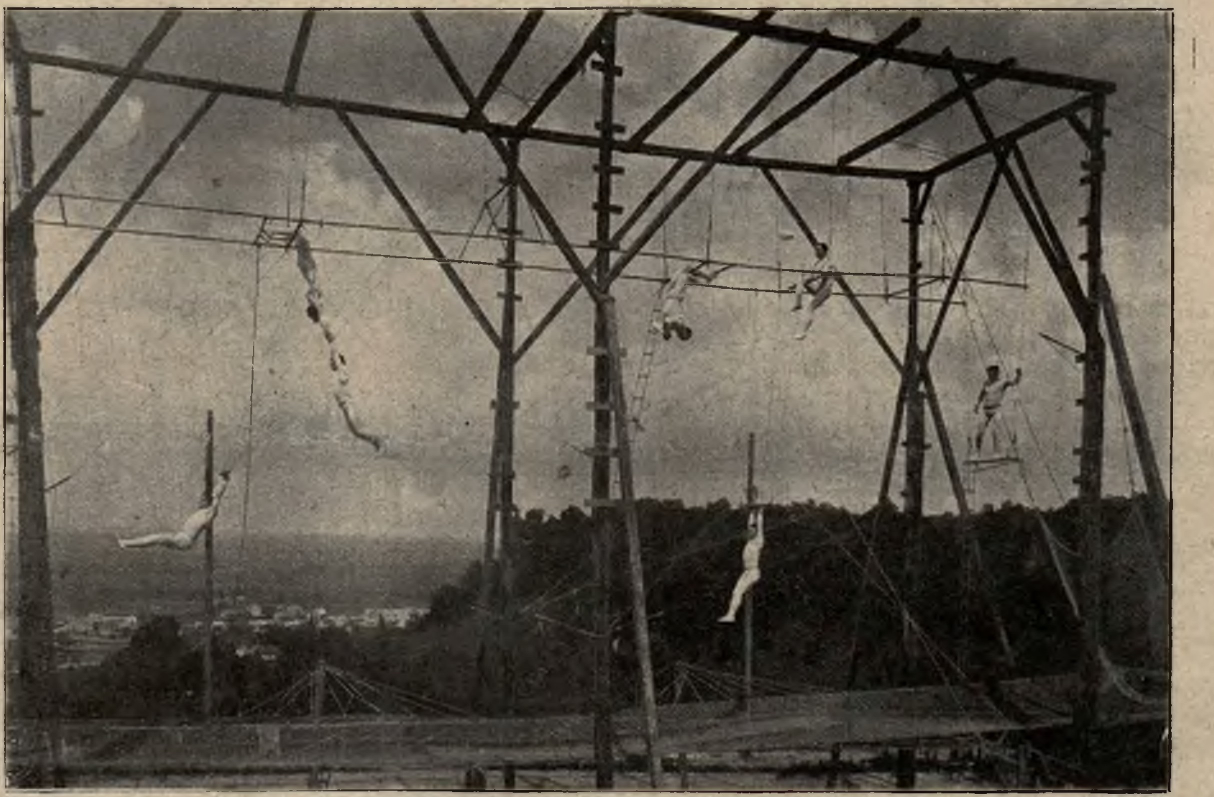
dzielny szeregowiec i wybitnie inteligentny marynarz postępował w hierarchii — przechodząc szybko na coraz wyższe stopnie karyery.

W 1889 roku został kapitanem korwety i od tego czasu prowadził już ciągle komendę samodzielnie. Od 1893—1895 roku służył jako naczelnik oddziału w sekcyi marynarki, a w 1895 roku został kapitanem okrętu liniowego. W 1901 roku cesarz zamianował go kontradmirałem. Jako kontradmirał stał na czele eskadry morza Adryatyckiego i części morza Śródziemnego. Pod koniec sierpnia 1905 roku został komendantem portu wojennego i admirałem portowym w Poli oraz zaawansował na wiceadmirała. W tym czasie od 18 listopada do 22 grudnia 1905 roku komenderował całą flotą międzynarodową i wykonał demonstracyę pod wyspą Mitylene, należącą wówczas do Turcyi. Dnia 29 października 1911 roku został admirałem, a w roku 1913 roku ustąpił na emeryturę.

Jako sumienny oficer i ludzki przełożony zaskarbił sobie ś. p. admirał Juliusz Ripper uznanie i szacunek podwładnych. Na podniesienie zasługuje, że mimo iż był wybitnym dygnitarzem floty austryackiej, nie przestał być Polakiem i obywatelem, kochającym swe rodzinne miasto i rodaków.

Szkoła dla fryzyerów we Lwowie.

We Lwowie istnieje od roku 1910 szkoła Stowarzyszenia fryzyerów, zorganizowana na podsta-



Ludzie-aeroplany. Karkołomne produkcye gimnastyków w parku zabawowym we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).



Polska placówka oświatowa: Wydział Czytelni Tow. szkoły ludowej przy ul. Grunwaldzkiej w Przemyślu.

Dla uprzemysłowienia kraju.

Po Towarzystwach oświatowych zajmują najpoważniejsze miejsce w pracy nad odrodzeniem naszego kraju „Towarzystwa Pomocy Przemysłowej". Te zaś, o ile pracują konsekwentnie i swych sił nie rozdrabniają w niedostępnych na słabe siły kierunkach, a prowadzone są przez sprężyste i pomysłowe jednostki, cieszą się wcale pięknymi wynikami pracy. Społeczeństwo nasze zaczyna się bowiem budzić z długiej ekonomicznej zależności od obcych, a jest to w znacznym stopniu zasługa Towarzystwa Pomocy przemysłowej, które swą siecią kraj cały opasuje.

Bardzo pożyteczną w tym kierunku placówką jest zawiązane przed 13 laty Towarzystwo Pomocy przemysłowej w Tarnopolu. Na czele jego stoi obrany w dniu 28 stycznia b. r. przewodniczący p. Aleksander Niweliński, nauczyciel szkoły ślusarstwa maszynowego. Pod jego energicznem kierownictwem podjęło Towarzystwo w krótkim czasie bardzo wiele agend, które piękne wydają wyniki. Za jego staraniem urządziła też niedawno Liga Pomocy przemysłowej w Tarnopolu kurs kroju i szycia sukien. Kurs ten ukończyło 37 uczestniczek, z bardzo dobrymi wynikami. Zamieszczona illustracya przedstawia uczestniczki kursu wraz z instruktorką L. P. P. p. Wandą Buławówną i prezesem p. Aleksandrem Niwelińskim.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

10

— Ja chcę się stąd wydostać! — zawołałem. — Rozkazuję ci, wyprowadź mnie stąd!

I ruchem rozpaczliwym wyprężyłem ramiona; udało mi się cokolwiek rozszerzyć otwór w siatce, uczyniony w nocy.

Wówczas rzucił się z groźnem mruczeniem na mnie. Uwolnioną ręką wymierzyłem mu silny cios w piersi; potknął się, upadł z nogami uwięzionemi w skrzydłach. Przez chwilę sądziłem, że już zwycięstwo trzymam w dłoni. Ale potwór, upadając, miał na tyle przytomności umysłu, że potrafił pochwycić jednę z kul ołowianych, obciążających wiążącą mnie siatkę i tak ją silnie pociągnął, że uczułem się mocniej jeszcze skrępowanym.

Widząc moją wściekłość, roześmiał się strasznie, a ten śmiech uczynił twarz jego jeszcze wstrętniejszą i bardziej odrażającą.

— To dobrze — rzekłem zimno — skoro tak ze mną postępujesz i nie chcesz mi nawet powiedzieć, dokąd mnie prowadzisz, nie postąpię ani kroku naprzód.

I stanąłem, opierając się silnie stopami o ziemię; wszystkie jego usiłowania, aby mnie poruszyć, były nadaremne. Postanowiłem uporem zmusić go do uległości.

Wtedy czując, że jestem silniejszy, wskazał mi pazurem koniec korytarza, gdzie widniało światełko i wymówił słowo „jeść“. Było to pierwsze słowo, które nauczyłem go wymawiać.

Dowiedziałem się więc nareszcie, że prowadził mnie gdzieś, aby mi dać pożywienie; byłem zanadto wyczerpany i głodny, aby dłużej się opierać. Poszedłem więc za nim chętnie. Nie dowiedziałem się zresztą nigdy, czy mój dozorca wykonywał rozkaz jakiejś wyższej władzy, czy też czynił to z własnej woli i natchnienia.

Przebyliśmy jeszcze około dwudziestu kroków, a jasność wzmogła się szybko. Dokładnie już widziałem wnętrze podziemia, pokryte grubą warstwą kurzu, kości i szkieletów. Erloois, którego oczy boleśnie raziły coraz silniejsze promienie światła, postępował z trudem i widziałem jego wysiłki, aby dojść do końca.

Ja zaś szedłem szybko, rozmyślnie pociągając go i zmuszając do szybszego chodu.

Tak, jak to przewidywałem słusznie, przyszła chwila, że wypuścił mnie z łapy, nie mogąc już iść dalej, stanął nagle i głowę ukrył pod rozłożone skrzydło.

Wydałem okrzyk szalonego tryumfu, i począłem biedz co sił mi starczyło, wiedząc dobrze, że w pełnem świetle nie będzie mógł za mną postąpić.

Nie usiłował nawet próbować; pozostał skurczony na ziemi, z głową ukrytą, zupełnie bierny i nieruchomy.

Nie rozmyślałem wcale nad przyczyną tej zmiany; zdawało mi się, że skrzydła mam przypięte do ramion i że światło, które widziałem w dali, będzie mojem wybawieniem. Przekonanie to dodało mi sił i odwagi.

Na widok szafirowego skrawka nieba, dostałem uczucia nieopisanej radości. Stanąłem na chwilę odurzony i nieprzytomny od siły tego uczucia. Żaden z najcudniejszych widoków natury, widzianych dotąd, nie wydał mi się tak pięknym, jak ten maleńki skrawek nieba! Uspokoiłem się jednak po chwili i biegłem dalej szybciej jeszcze, rozkoszując się już naprzód odzyskaną wolnością. Lecz gdy przybyłem do końca korytarza, radość moja zamieniła się w gorzkie rozczarowanie.

Sądziłem bowiem, że ta jasność zawiedzie mnie gdzieś w pola lub lasy bezkresne, w których czuł się będę bezpieczny i szczęśliwy, a tymczasem było to tylko okienko, wybite w skale. Było to zapewne jedno z dziennych schronisk Erlooisów.

Przebyłem straszną chwilę niepokoju i apatyi.

Wyjrzałem w końcu przez ten fatalny otwór i na tysiąc metrów mniejwięcej pod stopami, dostrzegłem żółtawe, brudne wody wielkiej rzeki, podmywającej stoki mojego więzienia.

Ażeby uciec ztąd, trzebaby mieć skrzydła.

Byłem tak przygnębiony i wzruszony, że łzy bezwiednie zaczęły spływać z moich oczu. Długą chwilę stałem w miejscu, bez myśli i ruchu, niewiedząc, co dalej postanowić czynić.

Przedemną rozstaczał się niezwykły i wspaniały widok. Olbrzymie lasy, widziane z tej zawrotnej wysokości, podobne były kwiecistym dywanom, o barwach wyszukanych i harmonijnie złączonych. A cały daleki horyzont widniał jakgdyby otulony w miękkie i kapryśne fałdy jakiejś tkanej złotem, drogiej materyi. Tysiące różnorodnych ptaków, z ogłuszającym wrzaskiem uwijało się jak motyle nad łąką, w przezroczystem powietrzu i dopełniały miary tego niezapomnianego pejzażu.

W dali, rysowały się długim, różowym i purpurowym szlakiem, dziwacznie postrzępione jak delikatne koronki, olbrzymie góry.

Nieprzeparty urok tego nieziemskiego widoku sprowadził mi pewne ukojenie i dopomógł do uporządkowania wzburzonych myśli. Rozdrażnienie moje znikało powoli. Pomyślałem, że na razie nie pozostało mi nic innego, jak powrócić do mojego więzienia, do Erlooisów, których zachowanie się względem mnie wydawało mi się coraz bardziej niewytłumaczonem.

I zatem więc cofnąłem się kilka kroków z powrotem do śmierdzącej i pogrążonej w ciemnościach piwnicy, gdy nagle spostrzegłem dość duże wgłębienie po lewej stronie muru, które dotąd uszło mojej uwagi.

W zagłębieniu tem stał drewniany półmisek, nałożony owocami, kawał pieczonego mięsa i kilka rybek trójkątnych, których łowieniem zabawiałem się podczas pobytu mojego we wsi Marsianów, a o istnieniu których widocznie Erlooisowie wiedzieli.

Obok tego stał duży garnek z wodą. Ucieszyłem się niezmiernie na widok tych przygotowanych dla mnie potraw, bo głód już dawał mi się poważnie we znaki. Zjadłem z apetytem wszystko, i zaraz zacząłem się inaczej zapatrywać na moje położenie. Powrót do optymizmu, do którego zawsze jestem skłonny, napełnił mnie żywem zadowoleniem. Byłem teraz przekonany, że Erlooisowie nie czyhali na moje życie, ale w każdym razie mieli co do mojej osoby pewne plany, których jeszcze zrozumieć nie mogłem. Postanowiłem więc zachowaniem mojem nie drażnić ich i ulegać im we wszystkiem do pewnego czasu, to jest do chwili, w której będę mógł urzeczywistnić nowy plan ucieczki. Ten plan zaś już wyraźnie zarysowywał się w moim umyśle.

Nie rozporządzałem ani czasem stosownym, ani potrzebnymi materyałami, do sporządzenia długiego sznura, po którym mógłbym ześlizgnąć się do rzeki — ale pomyślałem o spadochronie.

Siatka, którą byłem owinięty, mogła mi dostarczyć sznurów, a ubranie z piór, które miałem jeszcze na sobie, posłużyć mi mogło za ostateczne oparcie.

Przywiążę sobie ten aparat pod ramionami i skoczę do rzeki, którą przepłynę z łatwością.

Długą chwilę stałem w zagłębieniu muru, wdychając ożywcze powietrze i ciesząc się widokiem przestrzeni dalekiej i słońca, zanim zdecydowałem się powrócić do mojego dusznego i wstrętnego więzienia.

Gdy odwróciłem się poraz ostatni, aby pożegnalnem spojrzeniem objąć cały widnokrąg, ujrzałem nagle w dali długą smugę białego dymu ciągnącego się wierzchołkami drzew.

Nie potrafię opisać wzruszenia, jakiego doznałem; szalona jakaś nadzieja wstąpiła we mnie.

Ten biały znak, płynący tam prosto w falach spokojnego powietrza, stał mi się nagłym symbolem wyzwolenia, zwiastunem nieoczekiwanego szczęścia.

Tylko jedni Marsianie, moi dobrzy towarzysze, obeznani już przezemnie co do właściwości ognia, rozniecić mogli płomienie w celu wypłoszenia Erlooisów.

Przypuszczałem, że rozpoczęli poszukiwania za mną na myśl, że tylko kilka kilometrów dzieli mnie od oddanych mi przyjaciół, serce żywiej w piersi bić zaczęło. Nie mogłem się oderwać od tego widoku. Musiałem przywołać do pomocy cały zasób odwagi i zimnej krwi, aby zdecydować się wejść w to ponure podziemie.

Odnalazłem Erlooisa, na tem samem miejscu, gdzie go pozostawiłem.

Nie wyrzekłszy ani słowa, odprowadził mnie w głąb korytarza.

Dzień wlókł się do nieskończoności; wypełniłem go jak mogłem, częścią snem, częścią rozmyślaniem.

Gdy noc zapadła, Erlooisy wyszły ze swoich kryjówek; podziemia, jak dnia poprzedniego, wypełniły się szumem ich skrzydeł, a w ciemności rozbłysły setki błyszczących światełek. Ale zauważyłam z uczuciem wielkiej ulgi, że nie zwracali już tak troskliwej uwagi na mnie, chociaż ciągle jeszcze byłem strzeżony przez Erlooisa, któremu zawdzięczam te znaki na rękach. Widok mój nie budził już w nich tej gorącej ciekawości. Było to bardzo korzystne dla moich planów ucieczki. Zaczęło się wówczas dla mnie życie, pełne okropnej, męczącej monotonności.

Codziennie rano, mój Erloois, dozorca, przychodził po mnie i prowadził do zagłębienia w murze, gdzie znajdowałem zawsze przygotowane dla siebie pożywienie.

Mogłem do woli podziwiać okolicę i cieszyć się wdychaniem świeżego powietrza, którego brak coraz silniej dawał mi się odczuwać.

Zmartwiłem się bardzo, nie ujrzawszy już nazajutrz wąskiego pasma dymu, które obudziło we mnie tyle niecierpliwych nadziei.

Dodawałem sobie jednak energii, rozmyślając bezustannie nad sporządzeniem sobie spadochronu.

Byłem na tyle przewidujący, że odłożyłem na bok kilka muszli ze ślimaków, które podawano mi do jedzenia; były one spiczasto zakończone jak ostre noże i posłużyć mi mogły do przecięcia spojeń mojej siatki. W końcu wykombinowałem sobie, że zważywszy na to, iż na Marsie przedmioty wszystkie posiadają mniejszą wagę, niż na ziemi, będę potrzebował mniejszej ilości materyi do zrobienia spadochronu.

Na nieszczęście, pomimo pozornej wolności, jaką się cieszyłem podczas chwil poświęconych na pożywienie, byłem tak gorliwie strzeżony, że tydzień cały upłynął według mojego obliczenia, zanim zabrałem się do roboty.

Rozpacz mnie ogarniała, energia moja topniała powoli i czułem, że wkrótce rozchoruję się, dusząc się w tem zepsutem i gęstem powietrzu.

Erlooisy, o których pierwotnie sądziłem, że posiadają pewną cywilizacyę i inteligencyę, przedstawili mi się teraz, kiedy je widziałem z bliska, jako zwierzęta drapieżne i bezrozumne, których cała inteligencya a właściwie instynkt zwrócony był do zaopatrzenia się w żer potrzebny.

Jedynym przemysłem, o którym mieli jakieś nikłe pojęcie, było wyrabianie siatek, plecionych z włókien kory, które służyły im do polowań nocnych na upatrzone ofiary. W jedną z takich siatek, podobną do sieci do łowienia ryb, pochwycili mnie i trzymali mnie w niej uwięzionego jak w klatce.

Lecz wyrabianie tych siatek, było u nich tak instynktowne i bezwiedne, jak praca pająka nad utkaniem pajęczyny.

Siatki ich miały zawsze ten sam rozmiar, tę samą ilość oczek.

Starzy Erlooisy, niezdolni już do odbywania wycieczek nocnych, zajmowali się tą robotą, do której używali drzewa, podobnego do naszej brzozy.

Zastanowiłem się, dlaczego te potwory, tak doskonale uzbrojone w pazury i skrzydła, potrzebowały tych siatek do chwytania zwierzyny, przypuszczałem, że w porze braku tej zwierzyny ziemskiej, posługiwali się temi sieciami, aby pochwycić jakie mamifery, zwierzęta wodne, a może nawet ryby, bardzo liczne w kanałach Marsa.

Oczy moje przyzwyczaiły się już cokolwiek do ciemności podziemia; podczas ciężkiego snu Erlooisów odważyłem się dwukrotnie zapuścić w głąb korytarzów.

Sklepienia te były jeszcze rozleglejsze, niż przypuszczałem, rozszerzały się jakiemiś głębokiemi przepaściami, do których zejść odwagi mi brakowało.

Zaciekawiało mnie od początku mojego uwięzienia niezliczona ilość kości, pokrywających ziemię, ale wkońcu zjawisko to wyjaśnionem zostało.

Błądząc raz nocą, natrafiłem na wielkie zagłębienie, gdzie piętrzył się stos wyschniętych szkieletów tych potworów, leżały tam tysiącami, i doprawdy wieki całe złożyć się musiały na te zbiorowisko.

Nie mogę sobie wyobrazić nic straszniejszego nadto cmentarzysko, gdzie te ohydne twarze, szkielety i strzępy wyschniętych skrzydeł, leżały w nieładzie, tworząc jedną przerażającą mogiłę.

Spostrzegłem również ze zdumieniem i przerażeniem, że Erlooisy, na podobieństwo pewnych dzikich szczepów, dobijają starców, niezdolnych do lotu i pożerają ich. Wszystkie te szkielety nosiły oznaki uduszenia i wyssania krwi z żył.

Oddaliłem się prędko od tego zapowietrznego miejsca i teraz wytłómaczyłem sobie, dlaczego w tem podziemiu o licznych przecież otworach panuje tak strasznie zepsute powietrze.

O ile jednak Erlooisy okazywały wstrętne okrucieństwo dla kalek i starców, to o tyle dla noworodków pełni byli względów i starania.

Zaraz po urodzeniu składano je w rodzaj kolebki, uwitej z gałązek miękkich liany, wyłożonej puchem, w której pozostawały aż do nabrania sił, potrzebnych do lotu.

Widziałem matki Erlooisy, karmiące swoje dzieci, ukryte pod skrzydłami, jakby płaszczem, obdarzając ich pieszczotami. Ale ten widok sprawiał mi zawsze wstręt nieopisany.

Część pewna podziemia, odgrodzona wysokimi kamieniami, służyła za schronisko tym gniazdom.

Poza temi spostrzeżeniami nie wykryłem nic nad-

zwyczajnego. Wynalazłem, co prawda, kilka otworów w ścianie korytarzów, ale były tak wysoko umieszczone, że marzyć nawet nie mogłem o dostaniu się do nich. Podobne one były do tego, w którym codziennie znajdowałem pożywienie. W męczących oczekiwaniach na uchwycenie stosownej chwili do ucieczki upłynął cały tydzień.

Czułem znowu powrót ogromnego zniechęcenia. I zapytywałem się z rozpaczą, czy będę zmuszony spędzić w tem więzieniu resztę dni moich, w tej przerażającej ciemności, dającej mi już wrażenie grobu, w którym żywcem pogrzebany zostałem.

Do wszystkich moich zmartwień przybyła jeszcze nowa troska. Nie mogłem bez żalu myśleć o losie dawnych moich towarzyszów, Marsian z lagun, których nie mogłem już teraz bronić.

Na pewien czas przed rozłączeniem się z nimi pozostawiłem im nieocenioną zdobycz — ogień i nauczyłem, jak się z nim mają obchodzić. Ale przeczuwałem, że te istoty pierwotne i naiwne zaniedbać się mogą i rozzuchwalić pozornem bezpieczeństwem i wkońcu stać się mogą ofiarami swoich wrogów.

Oczami wyobraźni widziałem ich już, rozdartych pazurami Erlooisów i zjedzonych żywcem przez te krwiożercze potwory. I myśl o strasznym losie tych dobrych i łagodnych stworzeń rozdzierała mi serce.

Postępowanie Erlooisów względem mnie nie było już dla mnie zagadką.

Odrzuciłem pierwsze przypuszczenie, że uchwycili mnie, aby skorzystać z rad moich i wiadomości, aby przyswoić sobie wynalazki, którymi obdarzyłem ich przeciwników.

Trzymali mnie poprostu u siebie w roli okupu na przyszłość.

Z przebiegłością im wrodzoną odgadli szybko, że z chwilą, kiedy mnie tam nie będzie, Marsianie będą na ich łasce, staną się z powrotem uległem i biernem stadem, które pożerali przed mojem przybyciem do nich.

Myśląc o tem wszystkiem, gniew bezsilny mną wstrząsał, rodził we mnie bunt wściekły przeciw sobie, przeciw wszystkiemu, co stanęło na mojej drodze — i to uczucie w skutkach okazało się zbawiennem, bo wyrwało mnie z odrętwienia, w którem się pogrążałem. Czyż człowiek, który spełnił tyle trudnych zadań, stać się ma teraz zabawką w łapach tych potworów? Nie! do tego nie mogłem dopuścić za żadną cenę! Przysiągłem sobie, że albo zwyciężę, albo zginę — i nie czekając dłużej, zabrałem się gorączkowo do dzieła. Jedną z przeciwności, która powstrzymywała mnie dotąd w budowie mojego spadochronu, był brak obręczy i pręcików, potrzebnych do podtrzymania brzegów materyi rozłożonej.

I nagle wpadłem na myśl, że giętkie lniany, z których uwite były koszyki dla małych Erlooisów, mogą i mnie posłużyć. Natychmiast pobiegłem zaopatrzyć się w nie, ale z ostrożności ogołociłem tylko najstarsze, nieużywane już gniazda.

Zapomniałem nadmienić, że dni poprzednich udało mi się tak dobrze kawałkiem skorupy przeciąć sznury mojej siatki, że mogłem swobodnie rękami i nogami poruszać. Pozbyłem się również ciężarów, uwieszonych u dołu, bez zwrócenia uwagi moich dozorców. Zabrałem się do roboty, gdy wieczór zapadł, już po zachodzie słońca. Miałem nadzieję załatwić się z tem przed powrotem Erlooisów, którzy udali się na nocną wyprawę.

Ten potwór, który strzegł mnie w początkach mego uwięzienia, również poszedł z towarzyszami, sądząc widocznie, że opieka jego jest już niepotrzebną.

Nadarzała mi się więc doskonała sposobność, którą wyzyskać musiałem.

Na nieszczęście nie posiadałem żadnych narzędzi, oprócz skorup ze ślimaków, a do tego skaleczona przez Erlooisa ręka dokuczała mi bardzo.

Z wielkim trudem zdołałem zfabrykować coś podobnego do prymitywnego parasola bez rączki, z otworem w pośrodku.

Praca ta choć tak prosta, zajęła mi noc całą. Zaczęło już świtać, gdy ukończyłem.

Erlooisy już powracali. Podziemie napełniło się stopniowo szumem ich skrzydeł miękkich i mdłym zapachem ich ciał, przypominającym duszną atmosferą menażerye, napełnioną dzikimi zwierzętami.

Musiałem teraz czekać nadejścia dnia.

Pół godziny upłynęło. Większa część tych potworów już powróciła. Teraz przesuwali się koło mnie pojedyńczo, ci, którzy się opóźnili, spiesząc gorączkowo do swoich kryjówek, przed nadejściem dnia.

Nareszcie cisza zaległa podziemie, przerywana tylko monotonnem chrapaniem Erlooisów, zapadających codziennie w odrętwienie, trwające do nocy. Mogłem już rozpocząć moje działanie.

Byłem tak zdenerwowany oczekiwaniem, że nie czekałem nawet na wschód słońca. Powstałem szybko i pospieszyłem do otworu w skale, ciągnąc za sobą mój przyrząd. Byłem zdecydowany na wszystko i nic na świecie nie byłoby mnie powstrzymało od wykonania mojego zamiaru.

Z mojego nadpowietrznego obserwatoryum, widziałem ciemny jeszcze błękit nieba, rozjaśniony tylko wąskiem jasnem pasmem, zwiastującem nadejście dnia.

Świeży powiew szedł od rzeki, szumiącej głośno pod stokiem gór.



Piętrzył się stos wyschniętych szkieletów tych potworów...

Z rozkoszą wdychałem pełnemi piersiami to wonne krzepiące mnie powietrze.

Chwila stanowcza nadeszła nareszcie! Obejrzałem raz jeszcze mój spadochron i wypróbowałem siłę wiązadeł; umocowałem go silnie pod ramionami i skoczyłem w przepaść przymykając oczy.

Zdaje mi się, że nie przebyłem nawet jednej czwartej części zawrotnej przestrzeni. Jakiś duży cień przemknął przedemną i uczułem się pochwyconym i unoszonym w górę, jak gołąb porwany w locie przez jastrzębia. Nieszczęście chciało, że zostałem spostrzeżony przez jednego z zapóźnionych Erlooisów, powracającego do legowiska.

Jakże gorzko żałowałem mojej niecierpliwości! Gdybym był poczekał jeszcze godzinę, byłbym uratowany.

Erloois pochwycił mnie w pół i byłem na pół uduszonym żelaznym uściskiem jego łap żylastych.

Wrażenie, jakiego doznałem, było straszne. Wyczułem, w ciężkich ruchach jego skrzydeł, w przyspieszonym, chrapliwym oddechu, że ciężar mój jest stanowczo za wielki na jego siły.

Z tą przytomnością umysłu, właściwe ludziom stojącym wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa, obliczyłem, że nie potrafi długo mnie tak unosić i może mnie wpuścić do rzeki.

Raz już opuścił się na dół, pociągnięty ciężarem. Na horyzoncie długi, jasny pas światła wzmagał się. W serce moje raz jeszcze wstąpiła nadzieja. Mogłem jeszcze być uratowany. Upadek do rzeki nawet z tej wysokości nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa.

Ale potwór wściekły i dyszący zebrał ostatnie siły swoje. Skrzydła jego gwałtownie zabiły w powietrzu i rozpaczliwym wysiłkiem podrzucił mnie, obezwładnionego i napół przytomnego na brzeg otworu, z którego skoczyłem.

A chcąc mi widocznie odebrać ostatni błysk nadziei i ratunku, zaczął pazurami rozdzierać mój biedny przyrząd, który kosztował mnie tyle wysiłków i pracy. Poczem pociągnął mnie brutalnie do wnętrza sklepienia, wydając pomruki zadowolenia z odniesionego zwycięstwa.

Znalazłem się w tem samem miejscu, w którem byłem uwiązany pierwszego dnia.

Wtedy mój zwycięzca wydał przeciągły, ostry okrzyk, który pobudził całe zastępy Erlooisów!

I znowu setki pałających źrenic wpiły się w moją twarz z wyrazem groźby i gniewu. Skrzydła zaszumiały wokoło mnie. Ale już nie ciekawość pchała ich do mnie. Dziki pomruk wybiegał z ich dyszących piersi, a ruchy ich były niespokojne i nie wróżące nic dobrego dla mnie.

Popychali mnie, szturchali, przykładali pazury do mojej twarzy! Tak jak Indyanin przygwożdżony do deski tortur, oczekiwałem tylko chwili, w której jak stado dzikich szakali rzucą się na mnie i rozedrą!

W tej to chwili zapadłem w chwilowe omdlenie, rodzaj hallucynacyi na jawie! Gdy jeden z najdzikszych Erlooisów rzucił się na mnie z wystawionymi pazurami, poczułem, że tracę przytomność, ostatnią władzę myślenia. Wszystko wokoło mnie zaciemniło się. I nagle poczułem się uniesionym na ziemię, do sali, przypominającej oryginalną pagodę indyjską i spostrzegłem, jak przez tuman mgły, miss Albertę obok jakiejś osobistości mi nieznanej.

— Ależ do dyabła! — zaśmiał się tryumfalnie Ralf Pitcher — to pewnie tego dnia nasz biedny kapitan Wad wywoływał obraz pana przy pomocy indyjskiego yhoghi Phara Chibba. Zatraciłeś, jak powiadają spirytyści, swoje właściwości materyalne, uduchowniłeś się i myśmy cię widzieli, tak jest widzieliśmy ciebie i tego Erloisa, który ci groził.

— Nie roztrząsam tego faktu — szepnął zamyślony Robert Darvel — opowiadam tylko przebieg tej dziwnej chwili. Zresztą stan ten trwał zaledwie kilka sekund; z piorunującą szybkością zdałem sobie sprawę z strasznego położenia, w jakiem się znajdowałem.

W pośrodku tego szatańskiego koła, złożonego z błyszczących przeraźliwie ślepiów i zakrzywionych, ostrych jak noże pazurów — wiedziałem, że zginąć nieodwołalnie już muszę.

Już teraz nie zadawalniali się groźbami. Kilku z Erlooisów unosiło mnie na kilka stóp w górę i zabawiało się puszczaniem mnie na stos nagromadzonych szkieletów i kości. Inni znowu szczypali mnie, pociągali za włosy, nogi i ręce, tak, jak gdyby chcieli rozedrzeć mnie w kawałki.

Przeżyłem wówczas straszne minuty, i dziwię się dotąd, że pod ich wrażeniem nie oszalałem na miejscu. Wiedziałem, że to dopiero początek mych męczarni. Te dzikie zwierzęta bawiły się mną, jak kot z myszą. Już któreś silniejsze uderzenie pazura rozdarło mi do krwi prawe ramię. Byłem oślepiony krwią płynącą mi z czoła, napół przytomny i pierwszy raz w życiu wyglądałem śmierci, jak ostatecznego wybawienia.

Już może poraz dziesiąty upadłem na ziemię, ogłuszony uderzeniami, pośród radosnego wycia rozwścieklonych potworów, gdy nagle oślepiająca jasność zabłysła w końcu głównego korytarza.

Jasności tej towarzyszył hałas niezwykły, odgłos biegnących szybko ludzi i radosne okrzyki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Neosłowiańska“ jaskinia hazardu.

Biedna idea pansłowiańska mimo sędziwego wieku, kokieteryi na prawo i lewo, oraz obwożenia jej przez pierwszorzędnych komiwojażerów, jak dr. Kramarz i hr. Bobryński, nie może się przyjąć, jak zresztą wszelka utopia, nie mająca podstaw realnych. Dotychczas jednak była tylko biedną cierpiętniczką pielgrzymującą po stolicach i pismach Słowiańszyzny, los jednak nie odmówił jej i kompromitacyi.

Na gruncie warszawskim powstał przed rokiem pięknie nazwany „Słowiański klub artystyczno literacki“, grupujący kilkunastu propagatorów pobratymstwa słowiańskiego na gruncie politycznym, kulturalnym i towarzyskim.

Patronował temu poeta, parnasista, symbolista mistyk — p. Tadeusz Miciński, a pod jego egidą i w cieple serc klubowców miała się wzmocnić do lotu anemiczna koncepcya pansławinizmu. Zaczęto od najniewinniejszej rzeczy — zbliżenia towarzyskiego, które się też najlepiej udało. Powoli do programu posiedzeń weszła międzynarodowa rozrywka, a tak popularna w Słowiańszczyźnie t. j. niewinne karty (nb. do gry) i w braku innych agend zajęły lwią część działalności klubu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wcibstwo ludzkie i policyi — ktoś komuś doniósł, że w klubie członkowie hazardują się i to bezpośrednio w rublach, a nie w ideach słowiańskich, że klub to arcybractwo karciarzy etc. etc. Plotka doszła wreszcie do uszu władz bezpieczeństwa i moralności publicznej, no i policya uznała za konieczne wkroczyć.

Oto w tych dniach zaciszny lokal klubu przy ulicy Kaliksta pod L. 12. nawiedzili agenci wydziału śledczego i o zgrozo! zastali w istocie członków klubu w liczbie piętnastu zgodnie grających i to w zagraniczną grę, zakazaną „deux tableaux!“ Afera stała się głośną, idealiści pansłowiańscy znaleźli się w najgorszem oświetleniu — sprawa „pachnie“ pono sądem i kozą. Smutny koniec! faktycznie na kartę (i to niejedną) postawili klubowcy swój los i... niepięknie przegrali...



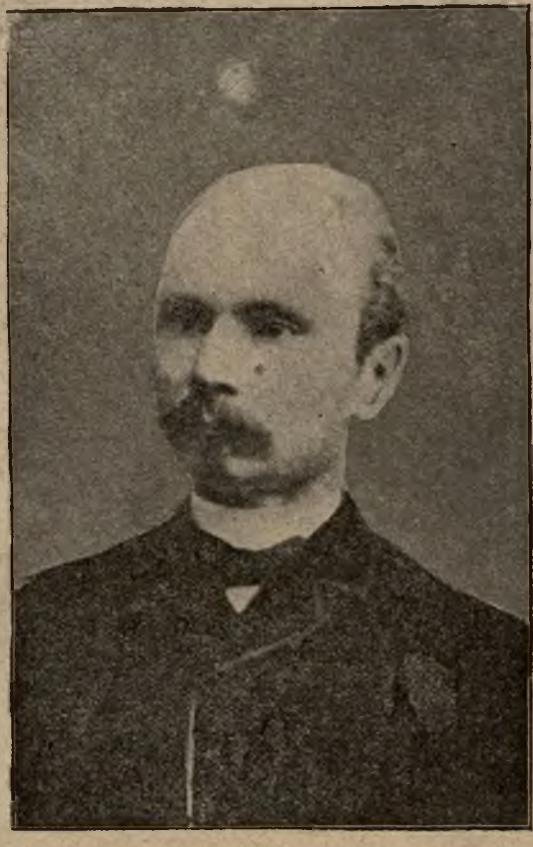
„Neosłowiańska“ jaskinia hazardu: Komitet „Słowiańskiego Tow. literacko-artystycznego w Warszawie.



Turyści przemyscy w Warszawie: Załoga „Korabia“ po przybyciu do Warszawy z delegatem T. C. W. (X).



Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu: Arcyksiążę Leopold Salwator w Miżyńcu w gościnie u ks. Lubomirskiej.



Zgon działacza ludowego: S. p. Kazimierz Łazarowicz.

Kurs handlowo-przemysłowy dla nauczycieli.

(Do illustracyi na str. 4).

Celem wykształcenia nauczycieli szkół wydziałowych na pomocnicze siły w szkołach przemysłowych uzupełniających zorganizowała Rada szkolna krajowa w krakowskiej wyższej szkole przemysłowej trzytygodniowy kurs wakacyjny w czasie od 1. do 18. lipca 1914 r. Na kursie tym wykładali: inżynier Edward Kostecki buchalteryę i kalkulacyę, prof. Wiktor Romański stylistykę handlowo-przemysłową, prof. Akademii handlowej Dr. Albin Żabiński naukę o handlu i wekslu, radca Witold Ostrowski o ustawach przemysłowych i p. Zygmunt Platowski rachunki kupieckie.

Illustracya nasza przedstawia uczestników kursu, przybyłych z całej Galicyi a nawet ze Śląska, w sali wykładowej z profesorami inżynierem Edwardem Kosteckim i Wiktorem Romańskim.

Kronika tygodniowa.

Oby się powiesił, kto wymyślił gorąca!... To pobożne życzenie wyrywa mi się z gardła, a nie tylko mnie, ale i innym towarzyszom niedoli, których Opatrzność skazała na smażenie się wraz ze mną wśród dusznej atmosfery Krakowa.

Już drugi tydzień słońce operuje w całej pełni, zazdrościmy też tym, którzy używają wywczasów gdzieś na łonie przyrody, gdzie nie trzeba pamiętać o kołnierzyku, krawacie, mankietach, ba, obeszłoby się nawet i bez innych szczegółów garderoby, bez których ani rusz pokazać się w rozszerzonej stolicy. O ileż szczęśliwsze są od nas niewiasty w swych przewiewnych, z różnych stron porozcinanych sukniach, tak doskonale ułatwiających wentylacyę!

To mnie tylko pociesza, że gorąco nie tylko nam daje się we znaki, lecz bardziej jeszcze dokucza tym, którzy pojechali na południe, a teraz to w Krakowie modne. Choć oni są o tyle w lepszem położeniu, iż mogą tam cały dzień pławić się w morzu, gdy my, przeciwnie, ani we Wiśle, ani w Rudawie na tę przyjemność pozwolić sobie nie możemy.

Wstyd doprawdy powiedzieć, że tak wielkie miasto, jak Kraków, nie ma dotąd postępowo urządzonych łazienek dla rzecznej kąpieli, przecież nie kosztowałoby to znów tak wiele. Podaję projekt panu fizykowi, tak dbającemu o nasze zdrowie, warto nim się zająć, zwłaszcza teraz, gdy po zaciągnięciu pożyczki będą w kasie miejskiej pieniądze. Tego roku, prawdopodobnie dlatego, iż jest gorąco, nie funkcyonuje nawet pływalnia wojskowa w Parku Krakowskim.

Pozostawiała ona wprawdzie wiele do życzenia, w każdym razie było to coś, a teraz niema nic!

Radcy miejscy nic sobie jednak nie robią z naszej mizeryi, ich stać na to, by we wakacye kąpać się w morzu. Jeden, dowiedziawszy się, że koło Abbazyi pokazał się rekin, zabrał nawet swą teściową, choć pierwotnie postanowiono, że ma pozostać w mieście i strzedz domowego ogniska przed wdarciem się niepowołanych gości sezonowych, czyli tak zwanych włamywaczy, od których aż się roi w tym czasie.

Policya nie ma jednak czasu polować na nich, musi bowiem strzedz krakowskich demokratów, którym narodowi demokraci, mnożący się coraz bardziej na krakowskim bruku, stale włażą na pięty.

Komu uda się zdobyć kilkadziesiąt koron, ten wybiera się bodaj na niedzielę pociągiem, tak zwanym „kominiarskim“, dajmy na to do Zakopanego, by się tam rozerwać, lub zabawić. Wskazanem jest, jeśli żona bawi w Zakopanem, jechać do Krynicy, jeśli zaś ona tam jest właśnie, skierować swe kroki do Zakopanego. Obrączkę ślubną na wszelki wypadek powinno się zostawić w domu, wiadomo bowiem, że w lecie mamy często burze, a pioruny ze szczególniejszą predylekcyą uderzają w metalowe przedmioty. Zresztą bez obrączki i lżej, co zaś ważniejsze, zazwyczaj kawaler w miejscu klimatycznem lub zdrojowem budzi z zasady więcej zaufania wśród płci pięknej, niż żonaty, więc uważany już za straconego.

Zaznaczyć zaś wypada, że jazda takim, powiedzmy „wycieczkowym“ pociągiem jest ogromnie miła i szczególniej wskazana dla tych, którzy potrzebują potów lub inhalacyi zgęszczonego powietrza. Dzięki panującemu w Austryi, szczególniej zaś w Galicyi, systemowi oszczędnościowemu, z zasady daje się mniej wozów, niż ich potrzeba, kilka przedziałów rezerwuje się ponadto dla różnych spodziewanych i niespodziewanych dygnitarzy, nic też dziwnego, że owa płacąca słono publiczność musi się gnieść i przypomina śledzie w beczce. Widzi się tu ogólne zrównanie wszystkich stanów, wyznanie polityczne ani religijne nie robi żadnej różnicy.

W ścisku zdarzyć się jednak może, że pasażerowie zamienią swoje nogi... Wyobrażam sobie minę zapalonego taternika, który, wysiadłszy w Zakopanem, widzi, że przez pomyłkę zostawił w wagonie swoje wytrenowane nogi, a wziął pedały, będące własnością pewnej starszej już i podagrycznej nauczycielki... W ścisku wszystko jest możliwem...

I te przyjemności jazdy odstraszają mnie od podjęcia podróży do Zakopanego, które aż się prosi, by kronikarz osobiście tam zawitał i przypatrzył się życiu naszych taterników. Na razie dałem sobie jednak spokój, natomiast zaś w ubiegłą niedzielę wyruszyłem w towarzystwie kilku znajomych na Wolę Justowską i Panieńskie Skały.

Lecz i tu nie brakło urozmaicenia, a pierwszem z nich była wojna z fijakrem, który w żaden sposób nie chciał nas odwieźć na miejsce za trzy korony, jak wyraźnie powiada taksa, zatwierdzona przez najrozmaitsze władze, rządowe i autonomiczne...

Po długich pertraktacyach dyplomatycznych udało się nam wreszcie z sympatycznym automedonem dojść do porozumienia, ruszyliśmy więc w drogę pełni najlepszej otuchy...

Los jednak uwziął się widocznie na nas, bo w środku drogi, wiodącej przez Błonia, konisko, widocznie zwolennik spoczynku niedzielnego, powiedział sobie: stój!

Nie pomogły słowa, nie pomogły bardziej przekonywujące argumenty, ruszył dopiero wtedy, gdy mu się stanie sprzykrzyło. Ponieważ zaś w Austryi mamy konstytucyę, która obowiązuje zarówno ludzi, jak i konie, za złe tego rumakowi leniwemu brać nie można. Starania woźnicy, by go zmusić do posłuszeństwa, sklasyfikowałbym jako ograniczenie osobistej wolności, sprzeciwiające się państwowym ustawom zasadniczym.

Odtąd już bez większego wypadku, jednak wśród tumanów kurzu, dojechaliśmy szczęśliwie na miejsce, konstatując z zadowoleniem, iż magistrat krakowski od Zwierzyńca ku Woli robi doskonały gościniec. Życzyćby sobie jednak należało, by przedłużono go aż na Wolę i połączono z aleją na Błoniach. Wówczas wycieczka na Wolę mogłaby być prawdziwą przyjemnością.

Wehikuł nasz zatrzymał się automatycznie przed zajazdem Masnego, naprzeciw wojskowej strzelnicy. Tutaj wysiedliśmy, by się lekko pokrzepić i rozpocząć stąd piesze wycieczki w różne strony. Jedzenie i piwo nie pozostawiają nic do życzenia, tak pod względem jakości, jak i ceny. Znając dobrze Kraków i jego okolice, byłem przygotowany na coś gorszego. W każdym razie konstatuję, iż miejscowość wycieczkowa, tak jak Wola, gdyby była gdzieś kolo niemieckiego miasteczka, nawet o połowę od Krakowa mniejszego, przedstawiałaby więcej komfortu i urządzeń dla wygody spacerowiczów. Dość powiedzieć, że wszystkiego jest tu jedna huśtawka, skrzypiąca należycie, zastępująca więc muzykę ogrodową.

Stąd, rzecz prosta, koło mleczarni w Kółku rolniczem, wśród nowych tumanów pyłu podążyliśmy ku bramie pałacowej, pewni, że dostaniemy się do ogrodu, niegdyś własności książąt Czartoryskich, dziś krakowskiego biskupstwa.

Niestety, brama zamknięta, cerber, strzegący jej, oświadcza kategorycznie, że zwiedzanie nie jest dopuszczalne.

Trudno — pomyślałem sobie, idąc w stronę Panieńskich Skał — nie wolno, to nie wolno, pójdziemy gdzieindziej. Nie gniewam się też na zarząd ogrodu, wiem bowiem, jak mieszkańcy stołecznego królewskiego rozszerzonego Krakowa po wandalsku obchodzą się z cudzą własnością, choćby ona była nawet przeznaczoną dla ogólnego użytku. Każdy na pamiątkę wziąłby sobie bodaj jedną gałązkę, lub jeden kwiatek, by go potem, gdy mu się uprzykrzy, rzucić gdzieś na drodze.

O tyle więc uważam zakaz zwiedzania parku za słuszny, tłumaczenie zaś, że to przeszkadza kiedziaj biskupowi, nie wytrzymuje krytyki. Dla zwiedzających i żądnych wypoczynku w cieniu drzew wyznaczyć można pewną część parku, nie stykającą się bezpośrednio z samym pałacem. Nie każdy zaś chce wędrować na Panieńskie Skały, bo to i dość daleko i musi się iść drogą wcale niewygodną.

Tramway na Wolę Justowską, a nawet na same Panieńskie Skały, byłby dla Krakowian w lecie prawdziwem dobrodziejstwem, jestem pewny, że przyczyniłby się do powstania tutaj całego szeregu will, w odpowiedniejszem nawet, powiedziałbym, położeniu, niż na Salwatorze, gdzie „wiatr psiajucha, mocno dmucha“... jak pięknie śpiewa pewien natchniony poeta.

Powrót z Woli do Krakowa wśród wieczornego chłodu, wzdłuż wałów nad modrą (?) Rudawą jest bardzo przyjemny, wygodniejszy natomiast bodaj fijakrem wprost „pod Obraz“, gdzie pan Władysław z staropolską gościnnością uraczy cię bombką „z gęstą równą“, byś mógł przepłukać zakurzone gardło.

Daj mu Panie Boże zdrowie, oby mu służba wojskowa była za to lekką!

Słomiani wdowcy, muszę stwierdzić z całą rewerencyą, prowadzą się w sposób nadzwyczaj chwalebny, nie przesadzę nawet, że wzorowy. Co najwyżej spotkasz ich wieczorem przy bombce, potem ciągną na herbatkę, jedni do Sukiennic „pod filarki“, inni do Bisanza lub Esplanady, potem sznureczkiem do domu.

I tak dzień po dniu, noc po nocy.

Rzecz prosta, że raz lub dwa w miesiącu (ale to najwyżej!) może nastąpić lekkie wykolejenie, musi być jednak do tego okazya, gdy n. p. słomiany wdowiec zakisi ogórki i chce się potem popisać wobec znajomych swemi gospodarskiemi zdolnościami, lub inny znów otrzyma w prezencie słoik konfitur poziomkowych, a boi się, by nie scukrzały zbytnio, nim rodzina powróci z letnich wywczasów.

Wówczas sprasza się towarzyszów niedoli na wspólną biesiadę, ot, tak bez ceremonii „po kawalersku“, nic też potem dziwnego, że niejeden zapomni o swych małżeńskich kajdanach i zdaje mu się, iż jest kawalerem... To mu się jednak wybacza, zwłaszcza, że do ekscessów żadnych nie przychdzi, żony niech więc śpią na wsi spokojnie, o ile *nota bene* nie przeszkadzają im muchy, pchły, pluskwy i inne miłe sześcionogi, w jakie nasze letniska tak obfitują.

Polityką zajmujemy się ciągle pomimo upału i możemy zapewnić wszystkich bawiących na willegiaturze, że wojny dotąd niema i prawdopodobnie tak prędko nie będzie, bo i minister wojny Krobatin i szef sztabu jeneralnego, Conrad v. Hötzendorf, wyjechali na urlop. Jeden łowi pstrągi, drugi łapie motyle, namiestnik Korytowski zaś, jak zresztą co roku, nurkuje we wannie w Maryenbadzie i tutaj odbywa dalekie spacery. W ślad za nim pospieszą panowie Leo i German, Maryenbad więc w życiu politycznem Austryi i Galicyi odegrać może bardzo wybitną rolę.

Ja, choć jestem także politykiem z urodzenia, na razie nie wyjeżdżam nigdzie, zycbady urządzam zaś sobie w domu, a podczas tego czytam wiadomości polityczne, co mi przychodzi teraz o tyle łatwiej, iż mamy w Krakowie o jedno pismo codzienne mniej, zgasł bowiem po długich a dolegliwych cierpieniach finansowych „Nowy dziennik illustrowany“.

Czy na jego miejsce jaki grzybek nowy nie wyrośnie, o tem na razie cicho, na grzyby tego roku zresztą panuje ogromny nieurodzaj.

Pozatem kanikularną monotonię przerywały tylko występy publiczne narodowych demokratów, mające na celu napiętnowanie bielskich machinacyi hakatystycznych. Byłoby to wszystko wypadło daleko poważniej, gdyby nie nieproszony udział niedorostków, którzy potem użyli sobie na Rynku i ulicach, popisy ich wokalne, gimnastyczne i w uciekaniu dały sposobność naszej c. k. władzy bezpieczeństwa do wyładowania swej energii, co znów spotkało się z należytą odprawą na szpaltach pism codziennych.

Ja tam zaś nikogo nie winię, pod wpływem gorąca robi się nieraz głupstwa, młodym politykom powinno się w każdym razie pozwolić należycie wykrzyczeć i wygadać, potem będą spokojniejsi.

Że zaś człowiek z wiekiem się zmienia, na to mamy aż nazbyt dowodów. Znam człowieka, który jako akademik był skrajnym radykałem, dziś zaś stał się tak lojalnym, iż nuta „Czerwonego Sztandaru“ działa nań, jak czerwona chusta na hiszpańskiego byka.

Albo drugi przykład.

Jako młodzieniaszek, zgłębiający tajniki łaciny, greczyzny i t. d. w jednem z krakowskich gimnazyów miał największą frajdę, ilekroć udało mu się pokazać język żołnierzowi policyjnemu, a potem uciec... Myślałby kto, że z owego młodziana wyrośnie największy wróg władzy bezpieczeństwa, tymczasem losy tak zrządziły, że z czasem sam wstąpił w jej szeregi i stał się jej ozdobą...

Zbytek energii zastosowany ongiś wobec tych dwu panów byłby się stał powodem, że dziś, kto wie, czy nie byliby najzagorzalszymi zwolennikami teoryi Ignacowych, tymczasem zaś są to bardzo lojalni i naśladowania godni obywatele.





Oryginalne wyścigi cyklistów w Warszawie:
Bieg pań: 1) „Marysieńka" (I nagroda), 2) „Albertyna" (II nagroda), 3) I. W. (III. nagroda). Bieg archaiczny — na bicyklach.

Ostatnie dni króla albańskiego.

(Do illustracyi tytułowej).

Nieszczęsne dziecię dyplomacyi austro-węgierskiej, Albania, pomimo tak młodego wieku znajduje się już prawie w agonii... Nowe to państewko, które miało rozstrzygnąć wiele problemów polityki bałkańskiej, stało się nowem zarzewiem walk i nowych kłopotów dla „cioci" Europy. Prawie cała Albania znalazła się już w rękach powstańców, którzy sami nie mogą pogodzić się ze sobą, chcąc to miniaturowe państewko jeszcze podzielić! Do tego chaosu przybywa wiadomość, że Czarnogórcy wkroczyli w granice Albanii...

A tymczasem „mbret" albański, ks. Wied, osaczony w Durazzo od strony lądu przez powstańców, w gronie garstki swych „poddanych" spogląda tęsknie na stojące w porcie okręty państw europejskich, gotowe każdej chwili uwolnić go z tej królewsko-albańskiej opresyi i zabrać z powrotem do „vaterlandu"... Może to nastąpić już w dniach najbliższych, bo Albańczycy — jak to dali niejednokrotnie dowody — nie lubią żartować i długo czekać...

Turyści przemyscy w Warszawie.

W poprzednim numerze pisaliśmy o wycieczce wychowańców gimnazyum przemyskiego, którzy na łodzi-tratwie „Korab" popłynęli Sanem i Wisłą do Królestwa Polskiego i zamieściliśmy fotografię, przedstawiającą odjazd „Korabia" z Przemyśla. W ubiegłą sobotę wycieczka ta przybyła do ostatniego kresu



Turyści przemyscy w Warszawie: Łódź-tratwa „Korab" z wycieczką młodzieży przemyskiej przybija do przystani warszawskiego Tow. wioślarskiego.

swej podróży — do Warszawy, gdzie zabawiła kilka dni, podejmowana gościnnie przez Warszawskie Towarzystwo wioślarskie.

Uczestnicy wycieczki, która trwała od 5 do 18 b. m. zwiedzali po drodze: Sandomierz, Nadbrzezie, Zawichost, Janowiec, Kazimierz, Puławy, Mniszew, Górę Kalwaryę i Czersk. Wszyscy turyści przybyli do Warszawy w świetnym stanie zdrowia, czując się doskonale. W czasie podróży po Sanie, spotkała „Korab" w nocy gwałtowna burza, która nie pozwoliła turystom zmrużyć oka. Sympatyczni goście zabawili w Warszawie kilka dni, zwiedzając szczegółowo stolicę Polski.

Zgon działacza ludowego.

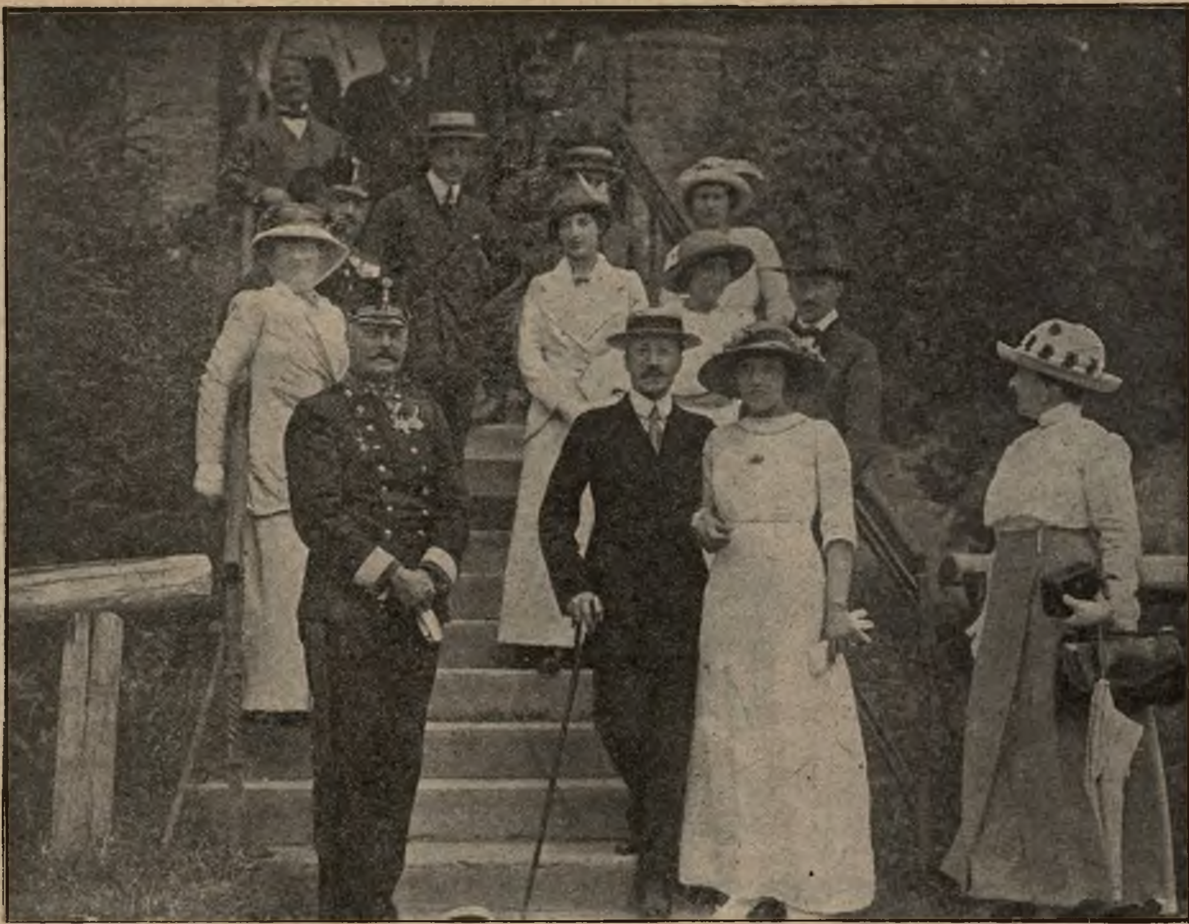
Każda żałobna wieść o zgonie ludzi wybitnych działaczy ściska nam serce bólem i trwogą o przyszłość. Szeregi ofiarnych ludzi, szczytnych ideologów i społeczników przerzedzają się w czasach ostatnich, bezwzględna śmierć odrywa ich od warsztatu pracy.

Znowu ubył nam jeden z działaczy ludowych i publicystów na tej niwie w Królestwie, pojmujący swą pracę najszczytniej, ś. p. Kazimierz Łazarowicz. Jako współpracownik „Zorzy" Brzezińskiego, a ostatnio redaktor codziennego pisma „Naród" zasłużył sobie ś. p. Łazarowicz na piękną kartę w historyi ruchu oświatowego Królestwa.

Urodzony w r. 1859 we wsi Polanówce, w guberni Lubelskiej ś. p. Kazimierz Łazarowicz kształ-



„Pod jednym dachem": Uczestnicy uroczystości otwarcia domu stowarzyszeniowego w Błoniu pod Warszawą.



Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu: Arcyksiążę Leopold Salwator opuszcza kościół w Miżyńcu.

cił się w Warszawie i tu ukończył gimnazyum realne, poczem, wiedziony miłością do ludu, objął skromne stanowisko nauczyciela w Lubelskiem. Tam przyjrzał się potrzebom ludu, któremu służyć ślubował przez całe życie. Powróciwszy następnie do Warszawy w listopadzie 1883 r., wstąpił do Tow. Kredytowego m. Warszawy, gdzie przebył jako urzędnik do końca życia. Wszelka akcya oświatowa organizacyjna na wsi znajdowała w nim zawsze gorącego poplecznika i kierownika.

Cześć jego pamięci!...

Oryginalne wyścigi cyklistów w Warszawie.

W miłej swej siedzibie na Dynasach urządzili w tych dniach warszawscy cykliści wyścigi bardzo interesujące i rozmaite, bo obok zwyczajnych, a istotnie pięknych biegów na współczesnych rowerach, odbył się bieg cyklistów na archaicznych już bicyklach. Nadto ścigali się motocykliści i panie, co było główną atrakcyą wyścigów. Płeć męska spisała się dobrze, oprócz dwóch nieznacznych wypadków wszystkie biegi wypadły doskonale, a uczestnicy zdobyli liczne nagrody i odznaczenia honorowe. Mniej udatniej wypadł bieg pań, z czterech bowiem współzawodniczek jedna tylko przybyła do mety, inne w zbyt szybkim pędzie zaczęły się oglądać (o kobiety!) i... pospadały tuż przed finishem. Obyło się bez wypadku, skończyło się na strachu i wesołości publiczności.

„Pod jednym dachem".

Idea wspólnej siedziby różnych zrzeszeń i towarzystw rozwiązuje doskonale kwestyę ich istnienia i pomyślnego rozwoju. Wiadomo jak ważnym czynnikiem jest lokal towarzystwa, nierzadko pierwszorzędnym, o brak którego rozbijają się często najlepsze chęci inicyatorów życia stowarzyszeniowego. Na zachodzie, a także we Włoszech trudności te pokonano przez budowę wspólnych domów, w których znajdują pomieszczenie liczne związki. Pomysł ten przyjął się i u nas i dzięki temu życie społeczne zapowiada się lepiej niż dotychczas. Jedną z takich wspólnych siedzib p. n. „Pod wspólnym dachem" zbudowali obywatele Błonia, miasta powiatowego pod Warszawą. W gmachu tym o dwóch piętrach, znalazły pomieszczenie wszystkie miejscowe instytucye społeczne, mianowicie: straż ogniowa z rekwizytami, Towarzystwo „Lutnia", Kasa pożyczkowo-oszczędnościowa, Towarzystwo krajoznawcze i szkoła elementarna. W gmachu urządzono dość obszerną salę na scenkę do przedstawień teatralnych i koncertów, oraz dla użytku wymienionych instytucyi na ogólne zebrania.



Tragedya artysty: S. p. Gustaw Jerzyna-Czernicki.



Z życia rękodzielników warszawskich: Jubilat p. Edmund Kwiatkowski, podstarszy zgromadzenia introligatorów, w gronie uczestników uroczystości.

Z Warszawy do Paryża na rowerach.

Czterej cykliści warszawscy pp. Z. Budziszewski, M. Fuks, F. Wojtkiewicz i H. Herbst wyruszyli w tych tygodniach w oryginalną podróż — z Warszawy do Paryża na rowerach. Smiali podróżnicy wytyczyli sobie marszrutę: Warszawa, Kutno, Słupca, Poznań, Schwerin, Münchenburg, Berlin, Wittenberg, Lipsk (zwiedzenie wystawy i postój dwudniowy), Naumburg, Eisenach, Schlüchten, Frankfurt, Kreuznach, St. Ingobert, Metz, Verdun, Châlons, Montmirail, Paryż.



Konkurs pływacki w Warszawie: Przy mecie.



Ze świata muzycznego: Bas, p. Michał Martini.



Z Warszawy do Paryża na rowerach: Cykliści warszawscy przed odjazdem.

Wycieczka wzbudziła zainteresowanie i zagranicą. Dowodem tego, iż „Union velocipédique de France“ wysyła swych delegatów, którzy o kilkadziesiąt kilometrów przed Paryżem spotkają Warszawian i towarzyszyć im będą do końca wycieczki.

Ze świata muzycznego.

Jedna ze szkół śpiewaczych Lwowa, najpoważniejsza z nich i najzasłużeńsza p. Czesława Zaremby, wypuściła obecnie w świat kilku młodych adeptów, którzy od razu zdobyli ostrogi artystów prawdziwych. Wychowańcy tej szkoły, debiutujący na scenach lwowskiej i krakowskiej, przedstawili się jaknajlepiej, zyskując uznanie dla siebie i uczelni, która ich tak dobrze wydoskonaliła. Jeden z uczniów pan Stefan Marjański po pomyślnym debiucie w operetkach „Gri — gri“ i „Polska krew“ we Lwowie, zaangażowany został do operetki warszawskiej teatru „Nowości“. Drugi zaś wychowaniec p. Zaremby bas — p. Michał Martini wystąpił w czasie gościny opery lwowskiej w Krakowie, zdobywając pochlebne recenzye i uznanie publiczności.



Ze świata muzycznego: Uczniowie i uczenice szkoły operowej p. Czesława Zaremby (X) we Lwowie.



Ze świata muzycznego: Tenor, p. Stefan Maryański.



Wycieczka krakowskiego chóru akademickiego po zdrojowiskach galicyjskich: Zespół chóru z dyr. Bolesławem Wallek-Walewskim.

Wycieczka krakowskiego chóru akademickiego po zdrojowiskach galicyjskich.

Corocznie wybiera się w podróż artystyczną po galicyjskich zdrojach chór akademicki z Krakowa, przynosząc letnikom pieśń rodzinną i wprowadzając humor i werwę dla uprzyjemnienia niezawsze wesołej doli kuracyuszów. Starsi chętnie słuchają koncertu młodych, pełnych zapału śpiewaków, a młodzież obojga płci cieszy się na zabawę po koncercie chóru, która stale należy do najmilszych urozmaiceń sezonu letniego. Krakowski chór akademicki, który na zjeździe śpiewackim we Lwowie odniósł rzetelny sukces, liczyć może i teraz w dniach kanikuły na chętnych słuchaczów, zwłaszcza, że w program koncertu wchodzą utwory nowe, na ogół nieznane, przeważnie polskich autorów. Koncerty odbywać się będą w dniach 27 lipca (Żegiestów), 28-go (Krynica), 30-go (Rabka) i 1 sierpnia (Zakopane).

Zespołem chóralnym dyrygować będzie prof. Bolesław Wallek-Walewski, solistami zaś będą p. Piotr Kowal, utalentowany tenorzysta oraz skrzypek, p. Stanisław Miszewski.

Tragedya artysty.

Niewdzięczna jest sztuka dla swych adeptów i wyznawców, droga do niej po cierniach zawodów, a sława, ta zwodnicza gwiazda, przychodzi często... po śmierci. Znowu tragedya polskiego artysty ś. p. Gustawa Jerzyny Czernickiego, który wyczerpany walką z losem, przerwał swe życie kulą rewolweru. Smutna historya, ale jakże u nas częsta.

S. p. Gustaw Czernicki urodził się w r. 1857 w Krakowie. Był synem Gustawa, literata i publicysty, znanego pod pseudonimem Jerzyny, długoletniego współpracownika „Wieku“ warszawskiego. Zmarły w Lublinie Gustaw Czernicki był najpierw wiolonczelistą, a następnie dzięki ładnemu tenorowi wykształcił się na śpiewaka opery. W Warszawie debiutował w roli Jontka w „Halce“ w r. 1885.

Z Warszawy przeniósł się do Lwowa, a następnie brał udział w trupach śpiewaczych na prowincyi: w Łodzi i Lublinie. Czernicki skomponował także 3 aktową operetkę i kilka innych utworów.

Konkurs pływacki w Warszawie.

Wioślarze warszawscy urządzili w tych dniach konkurs pływacki. Pierwszorzędne te zawody na znacznym dystansie 9 kilometrów z Łachy wilanowskiej do przystani Towarzystwa przy moście praskim wzbudziły znaczne zainteresowanie w tamtejszych kołach sportowych a do konkursowego pływania stanęło 39 uczestników Jeden z uczestników p. Z. Jędrzejowski, dobrowolnie warunki sobie utrudnił i płynął pełny dystans w całem ubraniu, płaszczu i cylindrze na głowie. Imponujący widok przedstawiała olbrzymia kawalkada na znacznej rozrzucona przestrzeni, trzydziestu kilku pływaków, dwadzieścia parę łodzi, asekurujących pływaków, retmanki i kajaki przewodników, motorowe łodzie. Pierwszymi do przystani przypłynęli pp. Imroth i Ochota, uczniowie p. Kozłowskiego, nauczyciela pływania W. T. W. i oni zdobyli nagrody.



Ostatnie dni króla albańskiego: Wierna resztka poddanych. — Mirydyci zapisują się do armii króla Wilhelma I



Nowa organizacya zawodowa: Kuratoryum i wydział lwowskiego stowarzyszenia dozorców domów.

Nowa organizacya zawodowa.

W ostatnich czasach rozpoczął się w większych miastach ruch zawodowy wśród dozorców domów celem dźwignięcia jednej z liczniejszych warstw pracujących. Otworzyło się więc przed działaczami społecznymi nowe pole pracy i powstały nowe zadania, które w interesie dobra publicznego winne być spełnione. Dozorcy domów bowiem, zwłaszcza w większych miastach stanowią odmienny typ służby domowej, będącej na usługach nietylko właścicieli domów, ale także na ulugach lokatorów i gminy. Są oni bowiem stróżami mienia i życia ludzkiego, odpowiadają policyjnie za wszelkie wydarzenia w kamienicy, za porządki wewnątrz i zewnątrz realności. Nie ma jednak ustawy, któraby określała stanowisko służbowe stróżów tak pod względem prawnoprywatnym jak i publicznym.

Aby te nienormalne stosunki uregulować, sprawę dozorców domów w kraju wziął w swoje ręce „Sekretaryat katolicki“ we Lwowie, który w łączności z „Pol. Zjednoczeniem zawodowem chrześcijańskich robotników“ w Krakowie zakłada organizacye i prowadzi akcyę w sprawie wydania ustawy krajowej,

mającej na celu poprawę stosunków bezpieczeństwa w kamienicach i ochronę pracy i wynagrodzenia dozorców domów.

Akcya ta coraz więcej zyskuje uznanie i poparcie, o czem świadczą petycye wnoszone do Sejmu krajowego przez organizacye dozorców jak i przez reprezentacye gmin miejskich.

Z życia rękodzielników warszawskich.

W tych dniach obchodzono w Warszawie jubileusz cichego, lecz cenionego w sferach rzemieślniczych pracownika, p. Edwarda Brunona Kwiatkowskiego, podstarszego i skarbnika Zgromadzenia towarzyszów introligatorskich, który od 25 lat piastuje te urzędy, a swą pracą społeczną zaskarbił sobie ogólne uznanie. Jubilat był między innemi inicyatorem i założycielem kasy pomocy koleżeńskiej przy Zgromadzeniu. Nadto w 1906 r. był jednym z założycieli ochrony wolskiej Tow. przytulisk niedoli dziecięcej.

Po nabożeństwie w kościele św. Krzyża na intencyę jubilata uczestnicy uroczystości w liczbie 40 osób udali się do sympatycznej siedziby Warszawskiego Tow. cyklistów na Dynasy, gdzie po dokonaniu zdjęcia fotograficznego goście zasiedli do uczty. Jubilat w dowód wdzięczności otrzymał od towarzyszów pracy kilka upominków.

Polska placówka oświatowa.

(Do illustracyi na str. 10).

Przed dwoma laty założyło Tow. Szkoły ludowej czytelnie ludowe w różnych dzielnicach Przemyśla, które rozwijają ożywioną działalność oświatową wśród kół najszerszych tego miasta. Jedna z nich, istniejąca od 2 lat przy ul. Grunwaldzkiej, wykazała najwięcej żywotności, zyskując obecnie 514 członków głównie z pośród mieszczan podmiejskich i robotników. Czytelnia ta ma wspaniały lokal, własną bibliotekę i lektoryum pism.

Odczytów zaś w przeciągu jej istnienia odbyło się 113 oraz mnóstwo pogadanek o treści społecznej. Z jesienią b. r. zostanie otwarty przy Czytelni kurs koszykarstwa.

W drugą rocznicę założenia tej pożytecznej placówki wydział Czytelni uwiecznił ją wspólną fotografią, którą zamieszczamy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

Przysłowiówka: U głodnego zawsze południe

Trójkąt magiczny:

W ł a d y w o s t o k
Ł o m i k a m i e ń
A l l a h a b a d
D u b i e n k a
Y a r k a n d
W a n d e a
O l i t a
S y r a
T a y
O b
K

Logogryf:

P r o s i a k
M i t r a
I r e n a
K a n f i n a
Ż e l a z k o
B r y n d z a
W a ż k a
B i e s y
M o d r z e w
K a n o n i k
K l e m e n s
D y s k a
F i k u s
A d m i r a ł

Łamigłówka literacka:

Wierzbicki.
Annunzio
Ciembrowicz.
Łuskina.
Arcybaszew.
Wiecki.
Perzyński.
Orsyd
Tokarzewski.
Orsyd
Crawford.
Konar.
Iwanskowa.

Zadanie do przestawienia: Dzięcioł w drzewo kuje, a dziób sobie psuje.

Zadanie do przestawienia: Jedź zwolna, a dalej zajedziesz

Bilety wizytowe: Formoza Mallorka. Menorka. Ibiza. Trinidad.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Wyka Rzeszów, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Maciejowska Winnica, D. Ligęza Tarnów, K. Stojanowski Stanisławów, S. Jasiński Rzeszów, K. Stefański Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, A. Siatka Kraków, J. Stanisławski Czerniowce, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, K. Moliński Sambor, J. Cisowski Warszawa, J. Sadowski Kraków, R. Bukowski Kijów, Z. Dębiński Lwów, J. Śliwiński Brzostek, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, K. Janik Drohobycz, R. Czapuczyński Kijów, M. Link Lwów, E. Niestenberger Lwów, C. Wang Tarnobrzeg, J. Wilczkiewicz Lwów, K. Sawliński Jasło, F. Blątterfeind Lwów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, W. Kalinowska Kalisz, S. Karwowski Berlin, J. Kaczkowski Drohobycz, S. Rogaliński Warszawa, D. Łopatyński Kraków, H. Tymińska Lwów, M. Klappholz Rzeszów, M. Sikorska Stanisławów, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, S. Krzyżanowski Kraków, T. Szumski Ryga, J. Rosenbaum Rozwadów, D. Dorożyński Odessa, J. Krawecki Przemyśl, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, J. Nowacki Lwów, J. Czarkowski Uhnów J. Orzechowski Kalisz, H. Chmurowicz Częstochowa, M. Winter Tarnopol, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, B. Zbigniewicz Kraków, T. Mazaraki Radom, H. Górska Lwów, S. Sokołowski Kraków, J. Broda Rzeszów, R. Madejski Lwów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Czyżewska Warszawa, F. Knopf Jarosław, A. Balicki Stanisławów, H. Wysoczański Petersburg, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków, H. Scholz Rozdół, K. Armatys Lwów, K. Misińska Złoczów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **J. Biechońska, Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z teatru świetlnego „Uciecha". Wprowadzona w teatrze świetlnym „Uciecha" zmiana programu dwa razy w tygodniu zyskała uznanie publiczności; chętnie spieszą zwolennicy obrazów świetlnych do teatru, ażeby zobaczyć co parę dni nowe zajmujące pierwszorzędne programy. Oba programy w tygodniu stoją na równej artystycznej wysokości; są równie troskliwie i umiejętnie dobierane. Sala „Uciechy" doskonale wentylowana, daje miły chłód w dni upalne, tak, że „Uciecha" w tych warunkach jest także miejscem bardzo przyjemnej letniej rozrywki, nawet w dni najbardziej gorące.

Program, rozpoczynający się w sobotę dnia 18 b. m. (trwający do wtorku dnia 21 b. m.) obejmuje piękny dramat z głębokiego czarnego lądu „Dziewczyna z Transwaalu", dalej świetne humoreski „Wszystko narzeka" i „Piffke i jego kapelusz" doskonałą komedyę „Materyał dowodowy". Zaznaczyć jeszcze należy dramat z życia na Montmartre w Paryżu p. t. „Lulu" i najnowszy przegląd tygodniowy.

W drugiej połowie tygodnia (od środy dnia 22 do piątku dnia 24 b. m.) ukazywać się będą na ekranie „Czarne perły", senzacyjny najnowszy dramat firmy Gaumont i śliczny obrazek filmowy p. t. „Niespodziewany powrót". Z humoresek będą wystawione: „Kazimierz odczuwa dreszcze tangowe" i „Piotruś, jako szofer".

W obu programach znajdują się obrazy, mające w obecnym letnim sezonie największe powodzenie.

Przedstawienia odbywają się codziennie od 6 do 11, w niedzielę i święta o godz. 3, 5, 7 i 9.

Adoree Villany, słynna bosonoga tancerka, występująca obecnie z niebywałem powodzeniem we Wiedniu, przybywa w piątek dnia 24 lipca do Krakowa i rozpocznie szereg gościnnych występów w sali „Teatru Nowości".

P. Adoree Villany była swego czasu powodem słynnego procesu w Monachium, gdzie w jej obronie stawali najwybitniejsi artyści malarze i profesorowie. Bosonoga tancerka wykona szereg tańców klasycznych przewyższając formą, temperamentem i poezyą słynną Izadorę Duncan.

Przedłużenie konkursu na broszurę. Na wielostronne życzenie przedłuża Bractwo wydawnicze św. Józefa we Lwowie, ostateczny termin do nadsyłania prac na rozpisany swego czasu konkurs na broszurę o temacie: „Jak może lud polski służyć Bogu i Ojczyźnie", aż do 15-go sierpnia r. b. włącznie. Prace nadesłane po tym terminie będą z konkursu wykluczone. Pierwsza nagroda wynosi 250, druga 150 koron. Adres Bractwa: Lwów, ulica Krakowska L. 16

Z półek księgarskich.

Walka z gruźlicą! Stowarzyszenie galicyjskich drukarzy we Lwowie wydało seryę, składającą się z 10 sztuk pięknie kolorowanych huculskich kart widokowych pędzla znanego artysty-malarza I. Trusza (Wodospad Prutu, Chłopiec huculski, Kapliwiec, Dziecko huculskie, Widok z Diłka, Kamień Dobosza, Huculi trębici, Widok z Jamny) i D. Olańskiego (Dom zdrowia drukarzy w Mikuliczynie, Cerkiew w Mikuliczynie). Cena jednej seryi tylko 1 korona! Przy odbiorze większej ilości odpowiedni rabat.

Czysty dochód ze sprzedaży przeznaczony na sanatoryum piersiowo chorych drukarzy w Mikuliczynie.

Zamówienia i pieniądze uprasza się posyłać pod adresem sekretarza Stowarzyszenia: P. Buniak, Lwów, ul. Skrzyńskiego 14,213. (Galicya, Austrya).

Nadesłane.

Winna czy niewinna?

Tajemnica nieszczęśliwej żony.

Tydzień minął już od śmierci pana Wirskiego. Ciężkie, żałobne milczenie zapanowało w jego domu. Służba przesuwała się na palcach, szeptem mówiąc do siebie. Pani domu, ubrana w grubą żałobę, nie wychodziła prawie ze swego pokoju, nie rozmawiała z nikim, przestała się zajmować nawet dziećmi. Niekiedy tylko posępną ciszę przerywały na krótko wybuchy śmiechu i szczebiot dwóch synków: Piotrusia i Julka, którzy zapominając w swej swobodzie dziecięcej o niedawnem nieszczęściu, mącili żałobny nastrój.

Pan Lingner nie odjechał po pogrzebie zięcia, ale pozostał przy córce, aby ją pocieszyć. Ojciec i córka mówili ze sobą rzadko i krótko.

Pan Lingner był posępny i jakby ogłuszony nagłą śmiercią zięcia. Nie mógł zrozumieć powodów tego niespodziewanego nieszczęścia, którego poprzednio nic nie zapowiadało ani nie zwiastowało. Pan Lingner głęboko zastanawiał się nad przyczyną niespodziewanej śmierci zięcia.

Pewnego wieczoru, kiedy dzieci już ułożyły się do snu, pan Lingner zapukał do drzwi pokoju swej córki. Wszedł i bez wstępów żadnych powiedział:

— Muszę z tobą mówić! Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia!

— Coś bardzo ważnego? Przestraszasz mnie ojcze!

— Mam nadzieję, że nie masz powodu, by się trwożyć! Joanno! Słuchaj, odpowiadaj mi szczerze i otwarcie! Patrz mi prosto w oczy! Czy twój mąż popełnił samobójstwo?

— Co za pytanie, ojcze?

— Wiesz zapewne, jakie pogłoski obiegają miasto. Powszechnie przypuszczają, że mąż twój nie odebrał sam sobie życia, ale został zamordowany. A czy wiesz, kogo podejrzywają o tę zbrodnię? Krew mi zastygła w żyłach, kiedy to posłyszałem! Ciebie, ciebie podejrzywają! Mówią, żeś ty go zabiła.

— Ojcze, to niegodne oszczerstwo. Jestem niewinna!

— Chcę ci wierzyć, dziecko moje. Nie mogę przypuścić, żebyś ty była zdolną do tak strasznego czynu. Twoje zaprzeczenia uspakajają mnie i pocieszają. A tak byłem przerażony. Spotkałem dziś sędziego śledczego p. Malwiniego, który wyraził mi naprzód swoje głębokie współczucie, a potem oświadczył, że z największą przykrością będzie zmuszony wobec obiegających miasto pogłosek przeprowadzić jeszcze raz śledztwo.

— Powtórzę mu to, co już raz powiedziałam. Tego fatalnego wieczoru, kiedy już kładłam się spać, posłyszałam huk wystrzału. Pobiegłam natychmiast do pokoju Edmunda i zastałam go w fotelu z głową zwieszoną na ramię. Skroń przedziurawiona była kulą, a z małej ranki sączył się delikatny strumień krwi. Rewolwer stoczył się na podłogę. Przerażona zaczęłam krzyczeć, wołać pomocy. Służba zbiegła się i pomogła mi przenieść Edmunda na łóżko. Zawezwano lekarza. Było już zapóźno... śmierć nastąpiła momentalnie.

— Czy to istotna prawda?

— Tak, ojcze!

— Przysięgniesz na to!

— Przysięgnę.

— Przysięgniesz na niewinne głowy twych dzieci?

— Ależ... ależ... tak! ojcze.

— Nieszczęsna! Tyś się zawahała!

— Nie, ojcze, mylisz się! Przysięgam ci na głowy mych dzieci!

— Zapóźno... tyś się zawahała... Joanno, spójrz mi prosto w oczy! Ty kłamiesz!

— Nie! ja mówię prawdę!

— Kłamiesz! Ja to czytam w twoich oczach. Co znaczy to twoje zmieszanie, wahanie... Słyszysz! Ja chcę, ja muszę wiedzieć prawdę! Pomyśl, jeżeli nie wyznasz prawdy mnie, swemu ojcu, to za kilka dni zmusi cię do tego sędzia śledczy.

— A więc tak! niech będzie! Nie będę kłamała ci dłużej! On nie popełnił samobójstwa!

— Zatem... byliście przecież sami! Więc ty... ty! Nieszczęsna! Dlaczegoś to zrobiła?

— Traciłam zmysły... byłam jak oszalała... O! ojcze, ojcze, nie potępiaj dopóki nie wysłuchasz! Nie znałeś mego życia! Nie masz prawa potępiać, boś ty sam winien! O! gdybyś wiedział, ojcze, co ja wycierpiałam przez te szesnaście lat, przez te długie szesnaście lat! Najpiękniejsze lata młodości przeszły w męce, tajonej przed wszystkimi. Nie mogłam już cierpieć dłużej. To wyście winni! Nie kochałam go, nie chciałam wyjść za niego. Ale myśmy byli zrujnowani, a pan Wirski miał wielki majątek, który nas mógł uratować. Skłoniliście mnie, żebym poślubiła człowieka, którego nie kochałam.

— Nikt cię nie zmuszał.

— Zapewne! nikt mnie nie bił, nie głodził, nie więził, w kajdanach nikt mnie nie poprowadził do ołtarza... Ale moralnie zmusiliście mnie... Cóż ja wiedziałam wtedy o życiu, o miłości, ja, niewinna ośmnastoletnia dziewczyna... Nie kochałam mego męża i pozostał mi na zawsze obcym... Ach! ojcze, czy ty wiesz, co to znaczy dla kobiety życie z człowiekiem niekochanym, człowiekiem wstrętnym... Obcą dla mnie była jego dusza, a wstrętnem ciało! Tyle, tyle smutnych, ponurych dni upłynęło mi w tem pożyciu, tyle strasznych chwil przepędziłam obok tego człowieka, podczas gdy serce moje, młodość moja rwała się ku szczęściu, ku miłości... Tam w stolicy gwarne życie porywa i rozprasza smutne myśli, ale u nas na prowincyi, gdzie dni płyną powolnie i leniwo... Prawda, byłam bogata, miałam wielki majątek... Tak! bogactwo odurzyło mnie na kilka miesięcy, ale to minęło wkrótce... Uczułam się znużona i nieszczęśliwa... Tak! majątek jest rzeczą pożądaną i dobrą, ale dla tych, którzy się kochają... Majątek może uzupełnić szczęście miłości, pozwala korzystać z rozkoszy i upojenia życia... O! ale jakże zimnym jest deszcz złota, kiedy serce nie uderza mocniej... Ja byłam młoda, pragnęłam miłości, a nie kochałam męża mego... Na cóż przydać mi się mogły pieniądze? Piękne tkaniny, pajęcze koronki, lśniące perły i brylanty jakąż mogą mieć wartość, jeżeli kobieta nie stroi się w nie dlatego, aby zachwycać oczy ukochanego! O! jakże to smutno i nudno pędzić w automobilu, jeżeli się niema obok siebie drogiego człowieka, na którego ramieniu można wesprzeć głowę, któremu można się zwierzyć z najskrytszych drgnień serca. Pyszne obiady, przyjęcia, bale, teatry, rozrywki?... Jakże nudne i męczące stają się te wszystkie uczty i zabawy, jeżeli miłość nie okrasza ich swoją obecnością... Inna na mojem miejscu byłaby zdradzała męża, szukała szczęścia poza małżeństwem... I ja nieraz myślałam o tem... i mnie błyskało oddalone widmo szczęścia, ale nie miałam go już nigdy osiągnąć... Nie miałam odwagi, zbyt dużo przeszkód piętrzyło się pomiędzy mną a szczęściem mojem... Rozwieść się? Nasz dystyngowany świat nie uznaje rozwodów...

— Ale chyba tem mniej uznaje morderstwo...

— Och! ojcze, nie szydź, gdybyś wiedział, co ja wycierpiałam...

— Nic cię nie może usprawiedliwić!

— Ja się nie usprawiedliwiam, ja tylko chcę ci powiedzieć, co mnie popchnęło do tego strasznego kroku... Ja przecież nie byłam zła... Chciałabym, ojcze, wyjść gdzieś na ulicę i głośno mówić o mojej męce wszystkim młodym dziewczętom, które marzą o bogatym mężu. Może moje nieszczęsne życie powstrzymałoby je od poślubienia kogoś bez miłości... Małżeństwo może być rajem, jeżeli miłość wyzłoci jego drogi... Bez miłości staje się najsroższą torturą. Często przeżywałam chwile, kiedy byłabym oddała mój majątek, aby zostać biedną robotnicą, która po ciężkiej pracy wraca w ramiona ukochanego... Miłość!... kochać!... — oto są słowa, w których zawarte jest całe szczęście człowieka... A ja?... Przeszła młodość moja, starość zbliżać się poczyna, bo ja postarzałam się zbyt wcześnie. Umrę, nie znając miłości i zmarnowawszy życie... Teraz wszystko skończone... Żałuję mego szalonego czynu...

— Za późno!...

— Naturalnie za późno!... Cóż chcesz, ojcze? Rozegrała się między nami scena... scena na chłodno, pełna słów okrutnych, raniących... On z wyrafinowanem okrucieństwem chciał mnie zdruzgotać, przygnieść swoją władzą mężowską... Chciał pokazać, że on jest panem... Gniew, nienawiść, długo tajona, zakipiała we mnie... Oczy zasłoniła mi jakaś krwawa mgła... Rewolwer leżał na biurku. Prawie machinalnie wyciągnęłam rękę i pochwyciłam go... Ojcze! teraz wyznałam wszystko — wiesz już wszystko... Osądź, zabij, jeżeli chcesz...

— To byłaby druga zbrodnia, a zresztą kara nie do mnie należy... Odchodzę... ty zaśnij, jeżeli spać będziesz mogła...

Ojciec i córka pożegnali się w milczeniu... Żadne z nich nie zmrużyło oka tej nocy...

* * *

Ekspertyza lekarska wykazała wprawdzie, że p. Wirski popełnił samobójstwo, ale wobec niepokojących pogłosek sędzia śledczy, p. Malwini, rozpoczął po raz drugi śledztwo. Czynił to z przykrością ze względu na sympatyę, jaką żywił dla pana Lingnera i jego córki, ale sympatye osobiste musiały ustąpić przed poczuciem obowiązku...

Śledztwo było trudnem do przeprowadzenia, albowiem podejrzenia kierowały się przeciwko pani Wirskiej, a jej przesłuchiwać nie było można, ponieważ zachorowała ciężko. Leżała w łóżku, trawiona gorączką, prawie bezprzytomna...

Lekarze, wezwani na konsylium, skonstatowali zapalenie ślepej kiszki i zadecydowali, że tylko natychmiastowa operacya może uratować chorą.

Wśród lekarzy, którzy mieli asystować przy operacyi, był doktor Perdrizet, przyjaciel pana Lingnera od lat najmłodszych.

Na kilka godzin przed operacyą pan Lingner poprosił starego przyjaciela o kilka chwil rozmowy na osobności. Wziął od starego lekarza przyrzeczenie, że on sam będzie chloroformował chorą i...

Pan Lingner zawahał się chwilę, wkońcu jednak powiedział:

— Stary przyjacielu, muszę cię prosić o jedną jeszcze przysługę... o wielką, ważną przysługę, która będzie wymagała z twojej strony wielkiego poświęcenia...

— Ależ możesz uważać rzecz już za spełnioną!

— Nie spiesz się tak bardzo... Posłuchaj naprzód, o co chodzi, zanim przyrzekniesz... Ty kochasz Joannę, nieprawdaż?

— Jak moje własne dziecko. Pomyśl, przecież to ja byłem przy jej urodzeniu, leczyłem ją w chorobach dziecięcych i później, ilekroć zasłabła. Ja byłem przy niej, kiedy rodziła dzieci. Ona nie chciała nigdy innego lekarza, była dla mnie tak życzliwą i dobrą! A teraz biedactwo ma przejść ciężką operacyę, podczas gdy ci źli niegodni ludzie rzucają na nią takie straszne haniebne podejrzenia... To okropne!

— Sądzisz, że te podejrzenia są bezpodstawne?

— Jakto, pytasz o to?

— Tak pytam. Więc ty jesteś przekonany zupełnie, że ona jest niewinna?

— Ale przysięgnę za nią, jak za samego siebie!

— Stary druhu, za nikogo przysięgać nie należy. Mylisz się. Joanna zabiła swego męża!

Doktór Perdrizet zerwał się z fotelu, na którym siedział i schwycił pana Lingnera za rękę. Sądził, że stary przyjaciel z nadmiaru wzruszeń postradał zmysły.

Ale pan Lingner, spokojny i niewzruszony, powtórzył lekarzowi wyznanie córki.

Doktór Perdrizet musiał uwierzyć.

Zapanowała cisza ciężka, tłocząca bolesna cisza.

Dwaj starcy spoglądali na siebie w milczeniu. W przeciągu pięćdziesięciu lat swej przyjaźni nie przeżyli chwili podobnie strasznej. W oczach lekarza malowało się bezgraniczne przerażenie, patrzył na przyjaciela oniemiały; wzrokiem zapytał go: co począć? co będzie teraz?

Po długiej chwili milczenia pan Lingner zaczął mówić:

— Domyślasz się zatem, co się stać może i musi. Nieszczęście jest nieuniknione. Sędzia śledczy jest na tropie prawdy, podejrzenia jego silne. Jeżeli Joannę uwiężą i sądzić będą jako zbrodniarkę, hańba okryje całą rodzinę, spadnie na moje siwe włosy, na niewinne główki jej dzieci, splami moje nieskalane nazwisko. Ale jest jedna rzecz, która może zatrzeć wszystko. Gdyby przypadek. Chloroform może dopomódz przypadkowi.

— To okropne, czego ty żądasz odemnie. Chcesz, abym ją zabił!

— Chcę, abyś ją ocalił! Ona nie była stworzona na zbrodniarkę! wyrzuty sumienia dręczą ją, cierpienia jej teraz już są piekielne, a pomyśl, w przyszłości co ją czeka. Gdyby ona mogła, gdyby się ośmieliła zwrócić z tą prośbą do ciebie, to sama błagałaby, abyś ją uwolnił od życia, które już jej nic dać nie może prócz cierpień, męki, wstydu i hańby. Ona sama prosiłaby, abyś jej oszczędził męczarni więzienia, potępienia synów, którzy odwrócą się od matki zbrodniarki, która im ojca zabiła, abyś uratował jej synów od hańby, bólu, który rzuci na zawsze cień na ich życie.

— Rozumiem cię... Na twojem miejscu mówiłbym tak samo... Ale to drogie dziecko... ale moje sumienie... To straszne, czego ty żądasz odemnie... Nie mogę niczego przyrzekać na pewno... Muszę się namyśleć, rozważyć...

* * *

Nazajutrz dzienniki przyniosły żałobną wiadomość, że pani Wirska zmarła podczas operacyi ślepej kiszki.

Ubolewano ogólnie nad tą śmiercią przedwczesną, która nie pozwoliła młodej kobiecie dożyć chwili oczyszczenia się z podejrzeń.

Tego samego dnia sędzia śledczy orzekł stanowczo po raz drugi, że p. Wirski popełnił samobójstwo, a wieści oskarżające jego żonę były podobno rozsiewane z zemsty przez oddalonego służącego.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego powieściopisarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Zakonnica. 3. Panna młoda. 4. Rokoszanin. 5 Termin botaniczny. 6. Wyciąg. 7. Rodzaj wódki. 8. Nakrycie głowy. 9. Budynek gospodarski. 10. Roślina pastewna 11 Stan podobny do śmierci. 12 Inicyały poety 13. Samogłoska.

Równanie.

Ułożyli Dunka i Stefan R. Lwów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego poety, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{3}+\frac{c}{2}=x$$

$$\frac{m}{5}+\frac{n}{3}+\frac{o}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Nakrycie głowy. b) Ogień sztuczny. c) Krakowski humorysta. m) Odmiana druku n) Część zatrzasku. o) Bogini łowów.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśna

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Wiele kur i kory u Kona W. K k. k

Łamigłówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśna.

Z podanego poniżej czterowiersza Adama Mickiewicza, wyjąć, idąc dwa razy z góry na dół, po jednej głosce i ułożyć z nich tytuł ballady tegoż autora:

Wilia, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów poszczególnych dzieł. Pierwsze ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego pisarza z XVII. wieku

Popielisko?
Gra fal?
Pod pantoflem?
Król Husytów?
Franek Rakoczy?
Fata Morgana?
Kamień węgielny?
Dziwy Antychrysta?
Dla świętej ziemi?
Z pamiętników doktora?
Pod rodzinnem niebem?

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, by powstały dwa znane polskie przysłowia.

1) o ą u u i e e i e.
2) o o e o i e, o o o ę o i e

Kwadrat magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśna.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a	a	a	a
a	a	d	k
m	n	n	o
o	r	w	w

Znaczenie wyrazów: 1. Napój. 2. Imię męskie 3. Napój. 4. Kolonia francuska.

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśna.

Z liter na biletach ułożyć zawód poszczególnych osób.

KATO WAD

WIT DRAGASZ

ARYAN T. KRZAK

DR. NÓŻKI

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć nieziszczalne marzenie polityków naszych w Petersburgu.

Lok! Jestem Siemiradzki, mer wąsów.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Mellity:* **Zachód.** Powieść

Ze świata kobiecego.



Narzutka koloru fraise



Ozdobny płaszczyk wieczorowy z białego sukienka, przybrany atłasem.

Czem przyjmować na letniskach.

Każda dobra gospodyni, która ma ambicyę mieć opinię doskonałej, każda przezorna kobieta, która pragnie, aby mąż uważał kuchnię i zastawę domową za najprzyjemniejszą, powinna czas pobytu na letnisku, uważać za najodpowiedniejszy do dokonalenia się w sztuce kulinarnej i zdobniczej, ma na to wtedy dość czasu i spokojną głowę. Ponieważ więc zazwyczaj w niedzielę przybywa pan mąż i jacyś goście, powinna starać się uświęcić każdą z nich jakąś zdobyczą gospodarczą, mając i to na względzie, aby przybywający, stęsknieni za wsią, znaleźli u niej wszystko inaczej, lepiej niż w mieście.

Wszelkie przeto posiedzenie jadalne powinno mieć miejsce na werandzie, lub w ogrodzie. Stół pokryty śnieżnym obrusem do obiadu, serwetą w drukowane desenie do kawy, na środku kwiaty i owoce, ułożone w koszykach, lub na kloszach i pamiętać przytem trzeba, że owoce stają się jeszcze ponętniejszemi, gdy przystrojone są zielenią, gdy festony liści winogronowych, lub prześliczne szyszki chmielu, zwieszają się ku nakryciu. Na półmisku nie powinno być dużo; brzegi zawsze odkryte i przystrojone sałatą, plasterkami marchwi, chrzanem struganym i różami z buraków; lepiej podać na dwóch półmiskach, lub dwukrotnie półmisek przynieść.

Jest wiele sposobów przybierania potraw, ogromnie dodających im apetyczności, koniecznym jednak warunkiem do tego jest posiadanie sztylecików. Niedrogi to przyrządzik, każdy bowiem blacharz może odrobić je po kilka halerzy za sztukę, a pozwalają utrzymać na półmisku najfantastyczniejsze ozdoby; a więc: nieduże raki, róże i tulipany z buraka lub brukwi, połówkę małej cytryny, wydrążonej i nałożonej czerwoną galaretą, wreszcie kogucie grzebienie, poprzednio wymoczone i ugotowane. Samo przez się rozumiemy, że liście pietruszki stanowią ozdób tych doniosłą stronę, szczególniej każdy kwiat jarzynowy powinien spoczywać na liściach pietruszki, poprzednio na sztyleciku okręconych. Dla ozdoby ciast powinny panie niebawem zabrać się do smażenia całych czereśni z szypułkami, gronek porzeczek i berberysu, rajskich jabłuszek i agrestu. Półmiski, na których ma się podać jarzynę, powinny być otoczone galeryjką z ciasta, zagniecionego twardo samemi żółtkami i wycinanego.

Jak wspomniałam wyżej, przyjęcie na letniskach powinno składać się z potraw, o które trudno w mieście. Więc przedewszystkiem chleb powinien być pieczony w domu; przepis na to znajdzie się w każdej książce kucharskiej; jest to zupełnie łatwe do wykonania i tylko niedbałości naszych gospodyń wiejskich trzeba przypisać, że chleb pieczony w piekarniach (na prowincyi, przeważnie żydowskich) coraz więcej wyrugowuje chleb domowy, pod nieuzasadnionym pretekstem, że jest tańszy. Dalej — rzecz naturalna — kurczęta z sałatą, lub mizeryą; kawa z doskonałą śmietanką, babka lub placek, owoce i chłodniki. Za konieczny warunek letniego mieszkania powinna uważać każda gospodyni maszynkę do lodów, które stanowią najtańszą i najpożądańszą leguminę latem. W każdej książce kucharskiej znajdzie się przepisy na kilkanaście gatunków lodów. We Włoszech podają wyborne *tutti-frutti*, które w zasadzie są zwykłemi lodami śmietankowemi, w które, gdy są w połowie zamarożone, rzuca się pokrajane w kostkę, lub w paseczki owoce smażone, kilkanaście migdałów i pistacyi i później razem zamraża. Francya, ten najbardziej rozalkoholizowany kraj w Europie, do chłodników dodaje najczęściej wino, które upodabnia go do wschodnich sorbetów. Robi się to tak, że do jakichkolwiek lodów owocowych, dodaje się wino i skoncentrowany zapach owocowy — t. j. esencyę malinową, poziomkową, ananasową. Sorbety ananasowe i poziomkowe są zbyt drogie na średnie warunki, gdyż dodaje się do nich wino szampańskie. Natomiast sorbet malinowy i cytrynowy może być dopełnionym zwykłem lekkiem winem białem, sorbet zaś wiśniowy — czerwonem. Doskonałym i niedrogim chłodnikiem, jest poncz rzymski mrożony. Robi się go tak: 1 funt cukru, otartego o cytrynę wkłada się do rondla, zalewa 1 litrem wody, zagotowuje i po wyszumowaniu — odstawia; potem wciska się w to sok z 2 cytryn i 3 pomarańcz, przecedza, wlewa do puszki od lodów i kręci na sztywną masę; wlewa się w to pół szklanki araku, pianę z 5 białek, zaparzone gęstym syropem, wreszcie szklankę wina i po wymieszaniu podaje się w małych szklankach. — Ah, jak ten mąż i ci goście będą wspominać i błogosławić takie letnisko, takie sorbety, gospo-się, co to przygotowała i *Furlanę*, co to doradziła!



Suknia z błyszczącego fularu koloru malinowego; kapelusz z główką beretową z tegoż jedwabiu, rondo z tagali *beige* i takież pióro.

Suknia z płótna krepowanego w kolorze niebieskim, przybrana gipiurą, kapelusz z niebieskiej tagali i dwie fantazye złote.

KIMONO

Kraków, ul. Karmelicka L. 7

WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA

Zamówienia uskutecznia do 4 godzin.

BLUZEK

Uwadze pracodawców!

Ksawery Biernacki i Ska

BIURO KOMISOWO-REKOMENDACYJNE

I-szego rzędu

Tow. Akc. „DZIAŁACZ".

Zatwierdzonego przez Ministeryum i kaucyonowanego.

Warszawa, Marszałkowska 68 róg Sadowej. Tel. 280-42.

POLECAMY PP. PRACODAWCOM:

gwarantowanych moralnie i materyalnie rutynowanych pracowników płci obojga bez żadnych kosztów pośrednictwa, a mianowicie: **w dziale rolnym:** Administratorów, kaucyonowanych rządców, plenipotentów, kasyerów, gorzelanych, dzierżawców, pisarzów prowentowych i kantorowych itp. oraz gospodynie miejskie i wiejskie, kucharki, kucharzy, panny do towarzystwa, pokojowe, panny służące, parobków, szwajcarów, woźnych i t. p.

A także załatwiamy wszelkie komisowo-handlowe tranzakcye.

Mamy nadzieję, iż WW. PP. Pracodawcy przy zapotrzebowaniu nie omieszkają zaszczycić nas swemi zamówieniami, w oczekiwaniu których kreślimy się z głębokim szacunkiem

Ksawery Biernacki i Ska.



Zęby bielsze od śniegu

„AMERICAN"

Nowa pasta amerykańska najdokładniej czyści zęby, wzmacnia dziąsła, chroni emalję, dezynfekuje jamę ustną, a nawet czarne zęby nabierają białego połysku.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Przedstawicielstwo Jeneralne WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 42 **S. ALBER**

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla, z doliczeniem na koszta przesyłki.

HYG. ZAKŁAD

CZYSZCZENIA PIERZA

czyści codziennie na poczekaniu w obecności Szan. klienteli pierze zbite lub zawierające mole zapomocą parowej maszyny. Od pierzyny lub piernata K 2·50; od poduszki K 1·—.

Kraków, Senacka 8, róg Grodzkiej.

Pielęgnujcie wasze nogi!

Niema już więcej pocenia nóg i przykrego zapachu potu!

Kosmetyczny preparat

70 hal. PANAX-PASTA 70 hal.

usuwa pot i umożliwia wygodne chodzenie. Do nabycia we wszystkich aptekach, drogueryach i perfumeryach. Wprowadzona z pomyślnym skutkiem w c. k. armii austro-węgierskiej i żandarmeryi.

Wysyłana do wszystkich części świata! Fabryka kosmetycznych i dyetetycznych preparatów.

Wiedeń XIV. Graumanngasse 7. **Fr. Vitek & Co.** **Praga II.** Wassergasse 19.

Do nabycia: we Lwowie: Piotr Mikolasch i Ska, A. V. Hübner, Mg. B. Hahn drog., Gródecka. Kraków: L. Weindl mg. Mg. farm. J. Hanak i Ska, Szewska 5. Przemyśl: Wojciechowski i Ska, J. Vondrávek, drog. Muszyński. Jarosław: Feliks Wojciechowski. Rzeszów: E. Lind, S. Zgorek. Stryj: Droguerya Jana Porębskiego.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 1359.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w mieście i na prowincyi.

K 3·90 z łańcuszkiem niklowym, wisiorkiem i futerałem skórzanym kosztuje mój **prawdz. amerykański, antymagnetyczny**



Syst Roskopf Patent

Anker-Remont. Nr. 99 z owalnem lub okrągłem kółeczkiem z plombą w dobrem nikl. pudle, z wskaz. sekundową patent. emal. cyferblatem, dokładnie naciągnięty i uregul. z 3-letnią pisemną gwarancyą **tylko K 3·90**

Nr. 99 1/4. Takisam z niklowym łańcuszkiem, wisiorkiem, futerał. skórzanym, w czarno-oksydowanej stal. kopercie **K 4·50**

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy

Wysyłka za zaliczką przez I-szą fabrykę zegarków

Hanns Konrad

c. k. nadw. dostawca

w Brüx Nr. 5377

(Czechy).

Katalog gł. z 4000 rycin na żądanie każdemu **darmo i opłatnie.**

Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Obcych Języków w szkole i w domu, bezpłatnie,** bo **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i kluczem p. t.:

SAMOUCZEK

Polsko-Niemiecki kurs wstępny hal.: 16, 32, 72 i 1·20; I. K 2·40, kurs II. K 4·80

Polsko-Francuski kurs I. K 3·60 kurs II. Kor. 9·60: **gramatyka franc.** K 3·60

Polsko-Angielski kurs I szy K 2·30, kurs II-gi K 3·60

Polsko-Rosyjski kurs wstępny hal. 16, 36, 72 i 1·20: I-szy K 4·20, kurs II-gi K 5·40.

Ameryk. przewodnik z rozmówkami angielskiemi K 1·30.

JAK Z BECZKI



tak świeże, czyste i mocne jest piwo flaszkowe napełniane sensacyjnym, patentowanym, amerykańskim

Napełniaczem do flaszek piwa „IKA"

Kwas węglowy nie uchodzi i niema straty piwa. Samodzielny usuwacz piany.

Cena z aluminium **K** 14·— na 1 fl.
„ „ „ 30·— „ 2 „
„ z mosiądzu „ 17·50 „ 1 „
„ „ „ 25·— „ 2 „

Wysyłka za pobraniem Illustrowany katalog darmo i opłacony.

J. Korngut, Wiedeń, XXI 4 od. N.

Skarbem

prawdziwym dla cierpiących na następstwa błędów młodości jest słynne dzieło ilustrowane

O Dra. Retau'a chrona własna

Nowe wydanie polskie. Cena K. 2.—

Niechaj czyta je każdy doznający na sobie skutków takich nałogów. Do nabycia przez Verlags-Magazin, Leipzig, Neumarkt 26 (w Lipsku, w Saksonii), jakoteż przez każdą księgarnię.

„KRYSZTAŁ" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232

POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY

poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**

Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

YOHYDROL

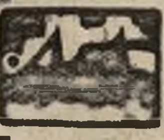
znakomity środek przy przedwczesnem osłabieniu nerwowem

Rurki zawierające 10 pastylek po Kr. 2·65

Wilhelm Ehrlich

Apteka Kraków ul. Krakowska

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume do Dalmacyi, „ Wenecyi i Ancony, „ Albanii i Grecyi

Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska na pierwszorzędnym z komfortem urządzonym parowcu.

Informacyi udziela Agencya międzynarodow. Towarzystwa wagonow sypialnych

Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume" dla okrętów parowych.

ZAKŁAD

plisowania, gufrowania i obciąganie guzików.

Kraków, ul. Grodzka L. 60

Parter B

Każdy posiadacz gramofonu grającego igłą otrzyma zupełnie

ZA DARMO



1 membranę Pathé grającą szafirem, jeżeli zakupi 8 płyt Pathé (29 cm. średnicy), po zykłej cenie K 4·50 za 1 sztukę, razem za K 36·—. Tę uniwersalną membranę można z łatwością zastosować do każdego gramofonu. Nie potrzeba zmieniać igły po przegraniu płyty, gdyż nasze membrany grają okrągłym trwałym szafirem. **Znakomite zalety płyt Pathé są powszechnie znane.** Tylko zapomocą naszego systemu można otrzymać prawdziwy żywy głos ludzki i wierną, głośną muzykę. Płyty Pathé są bardzo trwałe.



Olbrzymi wybór wspaniałych zdjęć na składzie. **Korzystajcie z wyjątkowej sposobności!**

S. Grudziński i T. Berger, Kraków, ul. Szewska 22/5, tel. 305

Nie daję moim dzieciom żadnych drożdżowych potraw mącznych, ponieważ mój mąż jest lekarzem chorób dziecięcych i stanowczym przeciwnikiem ciężko strawnych potraw mącznych. Ażeby jednak dzieci mogły dostawać potrawy mączne, piekę im ciasta, torty, leguminy z proszkiem do pieczywa Dra Oetkera. Na kolację daję im puding z mleka i jaj z dodatkiem nadzw. puding proszku Dra Oetkera lub delikatne kremy Dibona Dra Oetkera, dla odmiany robię małym z czerwonej kaszki Dra Oetkera nadzwyczaj pożywną wieczerzę. Czyste potrawy, które wydatne i pożywne są, *last not least,* tanie.

6

Zmiana lokalu!

Handel delikatesów, restauracya i pokoje do śniadań pod firmą **Karol Wołkowski Kraków**

obecnie **Rynek główny L. 15 (róg Grodzkiej). Telefon 366.**

Poleca z komfortem urządzony lokal, składający się z sali dużej, małej, garderoby i gabinetów na wesela, rauty, pikniki i zebrania towarzyskie. Urządza całe zastawy od najtańszych do najwykwintniejszych tak we własnych lokalach, jak i w domach prywatnych.

Wydaje obiady z trzech dań po K 1·10

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE**

ul. Grodzka 2

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor. M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.